Nr. 2.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XX.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1914.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna **7 Koron (Mk)**; dla Ameryki **8 Koron.**

Uprasza się o łaskawe uiszczenie prenumeraty zalegającej za rok 1913, oraz o przedpłatę na rok 1914, pod adresem: Redakcya »Roczników Zgromadzenia« — Kraków, Stradom 4.

Redakcya uprasza najuprzejmiej Czcigodnych Księży Superyorów oraz Czcig. SS. Przełożone o łaskawe nadsyłanie sprawozdań o pracy i stanie powierzonych im domów i dzieł, w myśl statutów ułożonych przy zakładaniu naszego kwartalnika oraz stosownie do „Słowa wstępnego“, zamieszczonego w pierwszym zeszycie tychże „Roczników“ (1895 r.).

Załączamy też gorącą prośbę o pisanie nekrologów naszych Zmarłych.

NR 2

Z Ameryki południowej.

Sprawozdanie z pracy XX. Misyonarzy w Guarany-mirim

(Ciąg dalszy).

IV. Prócz pracy parafialnej w obydwóch naszych polskich parafiach i stałych ekskursyi, jakie do dalszych kolonii w obrębie tychże parafii urządzamy, przedsiębierzemy jeszcze kilka razy w roku wycieczki misyjne, a raczej rekolekcyjne, do sąsiednich niemieckich parafii, w których nasi emigranci są rozprószeni. Takiem było życzenie Księdza Biskupa Beckera, gdy nam tutejsze parafie polskie w zarząd oddawał. Jednakże księża niemieccy, lubo o tem dobrze wiedzą, nie bardzo na to polecenie zważają, zaledwie raz lub dwa razy w roku pozwalają nam na liczne prośby i nalegania swych polskich parafian, abyśmy przybyli i w języku ojczystym ich wyspowiadali i głosili im słowo Boże. Sami zaś zawiele im się narzucać nie możemy, boć oni są gospodarzami owych parafii i za swe owieczki przed Bogiem odpowiadać będą.

Zdarza się, że raz poraz przychodzi do nas z obcej parafii, z daleka, jakiś Polak do spowiedzi, nawet ojciec z rodziną swą przyjeżdża koleją, następnie wozem, naraża się na wielkie wydatki, byleby się mógł przed nami w ojczystym języku wyspowiadać. Pisałem więc do ks. proboszcza owego kolonisty grzeczny list z zapytaniem, czy nie trzeba dla polskiego ludu w obrębie jego parafii kapłana, władającego językiem polskim, jesteśmy gotowi przybyć, niech wyznaczy dokładnie czas, ogłosi ludowi i t. p. Na list ten

nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, choć go osobiście wręczył swemu niemieckiemu proboszczowi ów Polak, który do nas przyszedł do spowiedzi.

Pisałem także do OO. Franciszkanów w Blumenau, którzy obecnie nie mają żadnego księdza mówiącego po polsku, a przecież w obrębie ich rozległych parafii wielu mieszka Polaków. Na grzeczny list również nie odebrałem żadnej odpowiedzi. Snać niemieccy proboszczowie i zakonnicy boją się polskich Misyonarzy, żeby polskiego ludu nie utwierdzili w jego narodowości, bo wtedy i trudniej będzie go można zgermanizować, a w dodatku i lud nasz częściej i natarczywiej domagać się będzie polskich księży. Mniejsza o to, czego sobie życzy X. Biskup lub co wyraźnie zaleca Ojciec Święty!... Taka, zdaje mi się — jest polityka tutejszych niemieckich księży.

Chętnie jednakże spieszyliśmy z pomocą duchowną naszemu ludowi, zamieszkałemu wśród niemców w sąsiednich parafiach, kiedy i o ile nam wolno było.

W pierwszych dniach mego pobytu w Brazylii, w tutejszej miejscowości, skierował Pan Bóg me kroki do Polaków rozprószonych koło miasteczka Hanzy, w Ribeirao Cavallo, choć wybierałem się i jechałem z ekskursyą do Rio Vermelho. Ustawiczne deszcze i wylewy rzek nie pozwoliły mi jechać na Wermel, skorzystałem przeto z propozycyi mego przewodnika i odwiedziłem tę kolonię polską, gdzie już dawno polskiego księdza nie było [1]).

W styczniu 1911 roku udałem się na zaproszenie konsystorza biskupiego do Florianopolis, na pierwszy kongres księży ze stanu św. Katarzyny, jaki się odbył pod przewodnictwem X. Biskupa Beckera. Skorzystałem z tej sposobności, by udzielić tamtejszym polskim kolonistom rekolekcyi, z których jednak niewielu korzystało. Przypisać to należy ich obojętności religijnej i szybkiemu wynarodowianiu się, gdyż

---

[1]) Ekskursyę wspomnianą opisały pokrótce „Roczniki Dzieła św. Dziecięctwa“. Zob. Nr. 117 z 1912 roku.

nie mają ani polskiej szkoły, ani obsługi duchownej w ojczystym języku [1]).

W większej ilości osiadł lud nasz w sąsiednich parafiach Sao Bento, Jaragua i Blumenau, które zostają pod zarządem księży niemieckich. W dwóch pierwszych parafiach byliśmy już kilka razy z ekskursyami duchownemi, tylko OO. Franciszkanie w Blumenau uważają za niepotrzebne i niepożyteczne dopuścić polskich Księży Misyonarzy do naszego ludu z obsługą duchowną, lubo obecnie nie mają księdza, któryby władał językiem polskim, jak to wyżej zaznaczyłem.

Opiszę obecnie po krótce me wyprawy duchowne, jakie odbyłem w październiku 1913 roku, bo ich wrażenia i różne szczegóły zostają mi świeżo w pamięci. Dodam zarazem niektóre uwagi, jakie w polskich koloniach zrobiłem, charakteryzują one bowiem dokładnie położenie naszego ludu.

1. Sao Bento (Św. Benedykt [2]) jest niewielkiem miasteczkiem powiatowem, liczy przeszło 300 mieszkańców. Kolonia ta istnieje przeszło 40 lat, powstała nieco wcześniej od Rio Vermelho, od którego jest oddaloną o 11 km. Parafię tę obsługiwał z początku przeszło 10 lat niemiecki ksiądz, Karol Bürgershausen, proboszcz z Joinville. Po drodze wstępował zazwyczaj i do polskiej kaplicy w Rio Vermelho. Później był tu przez pewien czas proboszczem polski ksiądz, prałat Bronikowski, który lubił podobno dobrze się bawić, w karty grywać, toteż nie zostawił po sobie miłej pamięci. Ze strony niemieckich parafian doznawał różnych przykrości i szykan, co spowodowało, że niedługo w Sao Bento bawił. Od 10 lat obsługują tę parafie niemieccy Księża ze Stowarzyszenia Najśw. Serca Jezusowego (Sacratissimi

---

[1]) Wspomniały o tej wyprawie duchownej „Misye Katol.“ w r. 1912.

[2]) Pełno miast i miejscowości w Brazylii nosi imiona Świętych i tak: nasz stan Santa Catharina, sąsiedni Sao Paulo, Espirito Santo (Duch święty); miasta: Sao Francisco, Sao Bento i t. d. Są to zapewne pamiątki po dawnych przodkach, mających większą wiarę, niż obecni mieszkańcy tego kraju.

Cordis Jesu). Do ich rozległej parafii należą: Brazylianie, grupujący się przeważnie w pobliżu powiatowego miasta Campo Alegre; Polacy, zwłaszcza w koloniach Batheas i Vinquinha (czytaj: Winkinia), i Niemcy, przeważnie w Sao Bento i w miasteczkach Lencol i Oxfort. Wśród Niemców, przeważną część stanowią protestanci, którzy mają w Sao Bento własną kirchę i przy niej rezydującego pastora.

Choć Niemcy w miasteczku przeważają, to przecież rząd miasta i powiatu trzymają Brazylianie w swych rękach. Umieją oni bowiem jeszcze lepiej kierować wyborami i obliczać głosy od galicyjskich socyalistów i ludowców; mają zresztą po swej stronie rząd, który na przewagę Niemców w stanie St. Catharina i Rio Grande dotąd z niedowierzaniem spogląda. Polacy trzymają zaś z Brazylianami przeciw Niemcom, toteż pobieramy z kasy powiatowej w Sao Bento subwencyę na szkołę w Rio Vermelho, miesięcznie po 15 milrejsów (25 koron) czyli rocznie 180 milr. (300 kor.). Tyleż zapomogi pobiera nasza druga szkoła polska, która powstała przed rokiem na 16. kilometrze drogi Humbolta. Koło miasteczka Sao Bento znajdują się w większej liczbie Polacy przy tak zwanej drodze bugierskiej (Bugerstrasse) i przy drodze prowadzonej na Wermel — Wunderwaldstrasse — przezwanej przez Niemców „Polenstrasse“. Obecnie przecież i przy tej „polskiej drodze“ mieszka już zaledwie trzecia część naszego ludu; jedni przenieśli się w inne miejscowości, sprzedawszy swą rolę Niemcom, i to protestantom; inni zniemczeli, bo w szkole uczą dzieci po niemiecku, a w kościele tylko w tym języku słyszą słowo Boże.

Przed kilku laty postarali się księża niemieccy o niemieckie zakonnice, Siostry Boskiej Opatrzności, które przez szkołę niemiecką w łatwy sposób polskie dzieci germanizują. System tu podobny, jak w zaborze pruskim, gdzie niemieckie zakonice w ochronkach, a nauczyciele w szkołach, germanizują polską dziatwę. Smutny miałem tego dowód jeszcze na kilka dni przed wyjazdem do Sao Bento.

Z parafii tej, z drogi bugierskiej, przywodzi ojciec swą

jedenastoletnią córeczkę na Wermel, abym ją przygotował do spowiedzi i Komunii świętej, bo tam wszystko po niemiecku, a tu przecież polski ksiądz uczy pacierza i katechizmu w ojczystym języku. Pytam się więc dziecka: „Jak się nazywasz?“ — „Julie Prysky“, brzmiała odpowiedź! — Powtarzam pytanie: „Jak? jak?“ — „Julie Prysky“ — odpowiada powtórnie z niemieckim akcentem, ochrypłym, gardłowym głosem. Lecz poprawia ją jej wujek: „Julia Brzeska“ się nazywa. Zapytuję dziecka, czemu tak przekręca swe nazwisko? Odpowiada mi, że ją tak zapisali i tak ją nazywają w szkole niemieckiej, w Sao Bento. Tłumaczę jej następnie, że nazwisko jej kończy się na „a“, i to nie „Pryska“, ale „Brzeska“; że tak ma odpowiadać, gdy ją zapytują o jej nazwisko. Niemcom, a nawet zakonnicom niemieckim nie powinna się dziwić, że jej nazwisko przekręcają, bo one po polsku nie umieją. Z pacierza umiało dziecko po polsku zaledwie „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Maryo“, a „Wierzę w Boga“ już nie całe, bo tyle nauczyła się od rodziców w domu. A w niemieckiej szkole nauczyły ją zakonnice po niemiecku, bez zrozumienia, dziesięć Boskich przykazań i siedm Sakramentów.

Po tym krótkim egzaminie poznałem odrazu opłakany los polskiej dziatwy, która się tak szybko germanizuje w niemieckiej szkole perafialnej w Sao Bento. Gorzej tu się dzieje niemal niż pod Prusakiem, bo germanizacya odbywa się tam przymusowo, a tu dobrowolnie, popierana przez zakonnice i księży niemieckich. Teraz też zrozumieć można, dla czego owe zakonnice pobierają roczną subwencyę od rządu pruskiego, 1200 marek, jak później przedemną mimowoli wygadał się tamtejszy proboszcz. Nie bardzo nawet dziwię się i temu, że tu na wolnej ziemi brazylijskiej, na pamiątkę dwudziestej piątej rocznicy panowania Wilhelma II, obchodziła tamtejsza katolicka szkoła, zostająca pod nadzorem księży niemieckich, uroczyście jubileusz, przez urządzenie teatrzyku i różnych śpiewów, o czem tutejsze gazety donosiły.

Ale w ten sposób nie pozyska się ludu brazylijskiego, a tem mniej polskiego.

Z powodu jubileuszu, ogłoszonego przez Namiestnika Chrystusowego z okazyi 1600 rocznicy nadania wolności wyznawania wiary świętej, postanowił proboszcz parafii w Sao Bento urządzić dla swych parafian rekolekcye, mające trwać przez cały tydzień. Kazania miały się odbywać w trzech językach, jakich jego parafianie używają, to jest: w niemieckim, portugalskim i polskim. Znam już smutne stosunki naszego ludu pod względem obsługi duchownej w ojczystym języku tej parafii, to też chętnie się zgodziłem na propozycyę udzielania Polakom rekolekcyi po polsku. Omówiliśmy już kilka tygodni naprzód rozkład nabożeństw, musiałem go nawet na karcie w polskim języku napisać, bo pismo to umieścił ks. proboszcz w Sao Bento obok niemieckiego i portugalskiego w skrzynce, za szkłem, przy drzwiach kościelnych, dla wygody swych parafian. Dla Polaków, którzy umieją czytać, była to miła niespodzianka, jak się później dowiedziałem. Udałem się z Rio Vermelho konno, w niedzielę po nieszporach, 12 października 1913 r. do Sao Bento, gdzie nazajutrz rano miałem rozpocząć nauki rekolekcyjne. Według poprzednio ułożonego planu mieliśmy odprawiać nabożeństwo i głosić nauki codziennie dla trzech narodowości w tym porządku: dla Polaków msza św. o 8. godzinie z kazaniem, potem czas na słuchanie spowiedzi; o 10. godz. msza św. z nauką dla Brazylian; wieczorem zaś o godz. 6. było nabożeństwo różańcowe z kazaniem niemieckiem dla Niemców.

Stało się, jak przewidywaliśmy: najwięcej i najgorliwiej garnęli się na nabożeństwa, kazania i do spowiedzi świętej Polacy; niektórzy z nich przybyli z daleka, musieli przeto nocować w miasteczku. Nie szczędziłem im też pokarmu duchownego, boć już dawno nie słyszeli polskiego kazania w tamtejszym kościele. Żeby nie byli gorszymi od Brazylian i Niemców, poleciłem im w czasie mej mszy św. odmawiać koronkę po polsku, co też codziennie czynili.

Mało przychodziło ludu brazylijskiego na 10. godz. tak,

że ks. proboszcz nawet namyślał się bardzo, czy się opłaci dla nich mieć naukę. Radził sobie w ten sposób, że brazylijskie dzieci szkolne chodziły na tę mszę św., odmawiały koronkę, a on od ołtarza miał krótką naukę.

Wieczorem o 6. godz. odbywało się wspólne nabożeństwo różańcowe z kazaniem niemieckiem. Ludzi dosyć się gromadziło, bo prócz Niemców przychodzili i Brazylianie i Polacy z pobliża lub ci, którzy tu nocowali. Do spowiedzi nie wielu było Niemców, mało Brazylian, najwięcej przystąpiło Polaków. Wyspowiadałem w tych dniach około 200 Polaków i kilku Niemców.

Zazwyczaj rano i przed południem słuchałem spowiedzi; po południu byłem wolny. Korzystałem z tych wolnych chwil, aby je w inny sposób zużytkować.

Pewnego dnia odwiedziłem ciężko chorego, mego parafianina z Rio Vermelho, z drogi Humbolta. Poszedł w niedzielę na polowanie, na którem go wielkie nieszczęście spotkało. Potknął się, upadł, a równocześnie kurek puścił; cały nabój śrutowy poszedł w podbrzusze. Dzięki tylko szczęśliwej operacyi został przy życiu. Lud uważa ten wypadek za karę Bożą, bo w niedzielę nie godzi się polować. Ucieszył się chory bardzo, gdy mnie ujrzał. Pocieszyłem go i zachęciłem do cierpliwości, a Bóg zdrowie przywróci; co się też stało.

Drugiego dnia poproszono mnie, abym udał się za miasto wyspowiadać staruszka, Polaka, Andrzeja Tułeckiego, mającego 87 lat wieku. Pochodzi on z Galicyi, z pod Tarnowa; jest już 40 lat w Brazylii, a nie umie po niemiecku, ma przeto trudności ze spowiedzią. Za to córka jego już raczej niemka, niż Polka; wnuki po polsku ani słowa nie umieją. Nic dziwnego: męża ma niemca, i to protestanta, z dziećmi rozmawiają w domu po niemiecku; szkoła niemiecka dokonuje reszty. Oto jak szybko postępuje tu germanizacya. Drugie pokolenie już zupełnie zniemczone, lubo dziadek ani słowa po niemiecku nie umie. To skutek szkoły niemieckiej!

Miałem na to widoczny dowód. Polak prosił mnie, żebym przygotował jego córeczkę do spowiedzi i Komunii św., bo do szkoły nie chodzi, po niemiecku nie umie, a księża nie mogą sobie z nią dać rady. Za wiedzą i porozumieniem się z ks. proboszczem zgodziłem się chętnie na tę prośbę. Dziewczę wyuczyłem głównych prawd wiary przez 4 dni i przyjąłem do Sakramentów św. Pytałem się ks. proboszcza, czy może więcej znajdzie się polskich dzieci, co po niemiecku nie umieją; chętnie je przygotuję do Sakramentów św. Na to odpowiedział, że chodzą do szkoły, gdzie się uczą po niemiecku, może sobie przeto z nimi już poradzić. Poproszono mnie także do dwóch chorych kobiet, co nie bardzo po niemiecku umieją; zaopatrzyłem je przed mym wyjazdem do Rio Vermelho.

Jedno popołudnie poświęciłem na wyjazd do Wermelu, aby się przypatrzeć robotom przy budowie kościoła, bo kontrola przy takiej ważnej sprawie zawsze potrzebna, jak miałem niestety sposobność o tem już tyle razy się przekonać.

Pracę moją zakończyłem w Sao Bento w piątek, dnia 17 października; wróciłem do Rio Vermello, aby tu w sobotę słuchać spowiedzi, a w niedzielę odprawić zwykłe parafialne nabożeństwo dla naszego ludu.

2. Hanza. — We wtorek, 21 października wyjechałem z Wermelu pociągiem do niemieckiego miasteczka Hanzy, aby wyspowiadać Polaków, rozproszonych w tej okolicy. Miasteczko jest mniejsze od Sao Bento; przed kilku dopiero laty założone; prędko się rozwija z powodu kolei i znacznego ruchu, jaki tu panuje. Nazwę swą Hanza nosi od niemieckiego hanzeatyckiego Towarzystwa kolonizacyjnego, które olbrzymie obszary lądu zakupiło i między kolonistów, naturalnie Niemców, parceluje. Ma ono jeszcze drugą, niemiecką nazwę, Humbolt, a drogę, która stąd wśród gór i przepaści do Wermelu prowadzi, nazwano drogą Humbolta (Humboltstrasse). Miasteczko, a po części i jego mieszkańcy, są mi znani, gdyż tu musiałem zawsze nocować w mych ekskursyach do Wermelu, nim nową kolej otworzono. Leży ono

w pięknem położeniu, otoczone górami, przepływa przez nie rzeka; w ogóle czysto jest utrzymywane, jak w ogóle nowsze tutejsze miasteczka, zwłaszcza niemieckie. Natomiast klimat jego jest już skwarny i gorący, podobnie jak u nas w Guarany mirim i w Massarandubie; klimat w Rio Vermelho i Sao Bento jest znacznie chłodniejszy, podobny do klimatu Parany.

O godzinie drugiej przybyłem do Hanzy, zamieszkałem w gospodzie, u niemieckiego katolika, u którego stają niemieccy księża z Jaragua (cz. Żaragua) w czasie swych ekskursyi, do nich bowiem należy to miasteczko. Po posiłku udałem się wprost do kaplicy, gdyż według mego rozkładu miałem tu tylko dwa dni zabawić. Ku memu wielkiemu zdziwieniu zastałem kaplicę zamkniętą, a obok niej ani żywego ducha. Według informacyi wendziarza, u którego zamieszkałem, miał się znajdować klucz od kaplicy u pewnego Kwiatka, Polaka, mającego swój dom naprzeciw drogi.

Chodzę koło kaplicy i czekam: może kto nadejdzie z kluczem i otworzy mi? Lecz napróżno. Pytam się wreszcie po niemiecku sąsiada obok mieszkającego, czy u nich klucza niema, lub czy mógłby mi powiedzieć, kto go posiada. Na to odebrałem krótką odpowiedź: „Keine Ahnung"... Chodzę więc dalej i przypatruję się szczegółowo ubogiej, lichej i zaniedbanej kapliczce, z drzewa zbudowanej. W sposób rażący odbija ona od protestanckiej, wielkiej a murowanej kirchy, która się tuż obok znajduje. Rząd bowiem brazylijski wyznaczył jeden dział ziemi dla katolików i protestantów, aby sobie na nim kaplice zbudowali i założyli cmentarze.

Gdy tak rozważam katolicką nędzę i ubóstwo, a protestancki przepych, jaki często zauważyć można w naszym stanie zniemczałym, przychodzi do mnie młody mężczyzna i pyta się mnie po niemiecku, czy chcę klucza do kaplicy. Owszem, odpowiadam, na to czekam. Wszczynam z nim zaraz rozmowę, zapytuję się wreszcie o jego nazwisko, odpowiada mi, że się „Kwiatke" nazywa. Poprawiam go natychmiast, że chyba „Kwiatek". Na to tłumaczy mi, że po polsku na-

zywa się rzeczywiście „Kwiatek“, ale po niemiecku „Kwiatke“. Ja nie dałem mu za wygrane, objaśniam, jak mogę dokładnie, że nazwiska w każdym języku muszą zostać te same, bez zmiany, i że nawet Niemcy nie mają prawa ani takiej władzy, żeby mogli polskie nazwiska dowolnie zmieniać i przekręcać, powinien się przeto i po niemiecku „Kwiatek“ nazywać i podpisywać. Nie wiem, czy z tego skorzystał.

Od niego się również dowiedziałem, że dziś po południu do kaplicy nikt z Polaków nie przyjdzie, mieszkają daleko, są zamówieni na jutro rano.

Ponieważ miałem kilka chwil wolnych, a chciałem się przekonać, jak nasz „Kwiatek“ mieszka, udałem się z nim do jego mieszkania, gdzie mnie jego żona, niemka, kawą przyjęła. Tu dowiedziałem się, że dom ma wynajęty w pobliżu kościoła, tylko chwilowo tu pracuje jako stolarz w nowej kamienicy, a własne mieszkanie zamyśla dopiero budować. Pokazywał mi zakupiony niewielki plac pod dom, którego fudamenta są już założone, a obok ma pracownię stolarską, nad której drzwiami wisi tablica z napisem portugalskim: „Quatke“. Wskazuję mu znów na niewłaściwość takiego przekręcenia swego pięknego nazwiska polskiego; wreszcie zamilknąłem i sprawy tej już nie poruszałem, bo zdaje mi się i tak nauka moja pójdzie w las; dzieci zostaną wychowane po niemiecku i nazywać się będą zamiast Kwiatek — „Kwiatke“ lub „Quatke“.

Niejedyny to wypadek, wiele podobnych znaleźć możemy w tutejszych miasteczkach, a nawet w koloniach niemieckich.

Nazajutrz wczas rano udałem się do kaplicy; zastałem ją już otwartą, nikogo jednak nie było. Myślałem, że doznam zawodu, że wśród Niemców i nasz lud już zobojętniał dla wiary św. i nie pospieszy wcale do kaplicy, aby tam swą duszę oczyścić. Myliłem się jednakże. Po pewnym czasie, zwolna zaczęli się schodzić i zjeżdżać. Na moje wymówki tłumaczyli się, że mają daleko, że nawet o 4. godzinie już wyjechali. Dnia tego wyspowiadałem przeszło 20 osób. Ka-

techizowałem dzieci w obecności rodziców, wygłosiłem naukę i odprawiłem mszę św. Wybrałem czworo starszych dzieci i kazałem im zostać na południe, abym mógł je lepiej przygotować do pierwszej spowiedzi i Komunii świętej.

Dnia następnego wyspowiadałem resztę, jako też dzieci, które po raz pierwszy przystąpiły do świętych Sakramentów. Ogółem przystąpiło 35 osób do spowiedzi i Komunii świętej. Na pamiątkę rozdałem im obrazki i medaliki cudowne. Po nabożeństwie wdałem się z nimi w krótką pogadankę. Opowiadali mi swoje zbożne zamiary, że zamyślają wielki murowany kościół zbudować, mają już nawet około 300 milrejsów (500 kor.), robią składki różne. Pomyślałem sobie: Biedacy, rzucacie się z motyką na słońce!... Nie setek, ale tysięcy potrzeba na budowę nawet większej, murowanej kaplicy, zwłaszcza w mieście, gdzie robotnik i materyał jest znacznie droższym, niż na kolonii. W dodatku i tak ów nowy kościół czy kaplica nie należałaby do nich, nie byłaby polską, przecież ich proboszczami są niemieccy księża ze Zgromadzenia Najśw. Serca Jezusowego z Jaragua, z łaski tylko pozwalają na przyjazd polskich księży, raz lub dwa razy w roku. Nie chciałem ich zniechęcać do dobrej sprawy, dlatego nie wspomniałem im o wielkich trudnościach, które z budową kościoła są połączone, ani o funduszach, jakie trzeba zebrać.

Serdecznie się żegnali ze mną i prosili, abym o nich pamiętał i znów wkrótce przybył. Obiecałem, że przybędę ja lub mój pomocnik we wielkim poście dla wysłuchania ich spowiedzi wielkanocnej, o czem ich we właściwym czasie ich proboszcz uwiadomi. Kwiatek miał do mnie jeszcze specyalną prośbę. Domagał się, abym na przyszły raz u niego zamieszkał, bo będzie miał na ten czas zbudowany własny dom. Zrobiłem mu nadzieję, że i o tem pamiętać będę.

Stąd wybrałem się dnia 23 października o godzinie 2-ej po południu koleją o jedną stacyę bliżej Massaranduby, do Ribeirao Cavallo, aby odwiedzić tamtejszą kolonię polską,

na której nie byliśmy już przeszło rok, choć o to się dopraszaliśmy, jakoteż tamtejsi Polacy.

3. Ribeirao Cavallo (rzeczka końska). — Osada ta nosi nazwę od małej rzeczki, która ją przepływa; leży w pobliżu kolei żelaznej, łączącej port Sao Francisco z Paraną, dlatego też ma widoki wielkiego rozwoju na przyszłość. Większość mieszkańców stanowią Włosi, około 60 rodzin; Polaków jest zaledwie 18 familii, mieszkają oni w innej tyfie, zwanej Braço do Cavallo.

Na stacyi czekał na mnie nauczyciel i kościelny razem, w jednej osobie, Włoch, od którego dowiedziałem się, że Polacy są zajęci plantowaniem miejsca pod budowę nowego kościoła. W jego towarzystwie przybyłem w kilku minutach do starej, drewnianej kaplicy, która jest zarazem ich szkołą. Nikogo tu nie zastałem. Idę kilka kroków dalej, koło góry, gdzie w komplecie zajęci byli robotą przy równaniu terenu, polscy gospodarze, ojcowie rodzin z Braço do Cavallo. Pozdrowiłem ich i zrobiłem zarazem łagodną wymówkę: „Wy tu, a nie w kaplicy? Przecież byliście uwiadomieni o moim przyjeździe?“ Uradowani przywitali mnie i otoczyli kołem; poczem opowiadali, jak ich często łudzono przyjazdem polskiego księdza, a przecież nie mogli się go doczekać; myśleli więc, że i dzisiaj nie przyjedzie. Opowiadali dalej, że niemieccy księża chcą w Jaragua budować kościół i dom, oni mają na to płacić, ale zgodzić się nie chcą, dopóki nie będą mieli od nich przyrzeczenia „na piśmie“, że polski ksiądz przynajmniej trzy razy w roku do nich przyjedzie, mianowicie: w adwencie, w poście i w lecie (w czerwcu lub w lipcu). Dodawali, że i tu mają nowy kościół stawiać, lecz ten sam warunek podają: jeżeli mieć będą polskiego księdza trzy razy w roku, to przyczynią się do budowy, dziś nawet nie byliby przyszli do roboty, ale proboszcz niemiecki powiedział, że dziś przyjedzie po południu ksiądz polski, chcieli się i o tem przekonać, czy to prawda, a zarazem swą dobrą wolę pokazać, pracować dla kościoła.

Trudno było nie przyznać im słuszności i uwzględnić

ich małego żądania, aby mieli trzy razy w roku polskiego księdza, któryby ich spowiedzi wysłuchał, a dzieci uczył katechizmu. Przyrzekłem w tej sprawie porozumieć się z ich ks. proboszczem i sprawę pomyślnie załatwić. Tem więcej należało to uczynić, bo i sami Włosi uznawali małe żądania Polaków za słuszne, nie chcieliby ich sobie zrażać i zniechęcać do budowy nowego kościoła, który wiele będzie wymagał ofiar w pieniądzach i pracy. Znany jest powszechnie nasz lud z ofiarności na budowę kaplic i kościołów, nie tylko w kraju, ale i tu, w Brazylii, dlatego i księżom niemieckim chodzi o to, aby go sobie nie zrażać. Napisał więc do mnie ks. proboszcz z Jaragua list, czyby w czasie odpustu jubileuszowego jeden z nas nie mógł przyjechać, by wyspowiadać jego polskich parafian. Chętnie się na to zgodziłem i niebawem spełniłem daną obietnicę.

Na pociechę polskich kolonistów przyrzekłem im, że dzisiejszy wieczór spędzę wśród nich, będę w ich tyfie i tam przenocuję. Będziemy więc wieczorem mieli sposobność o niejednej rzeczy pogadać. Natychmiast udał się jeden z nich, niejaki Kaczmarski Andrzej po konie i wóz, aby odwieźć księdza do Braço do Cavallo i przygotować mieszkanie u siebie, boć kiedyś on miał już polskiego księdza z Luceny w gościnie w swym domu. Mnie zaś zaprosił nauczyciel na kawę, bo u niego miałem się stołować. Pokazywał mi plan kościoła, jaki zamierzają zbudować; on go sam zrobił. Dałem mu różne uwagi i wskazówki praktyczne. Kościół ma być o trzech nawach, wielki i wysoki, a ściany tylko na półtorej cegły są za cienkie; filary wewnątrz zabierają wiele miejsca, łamane sklepienie, dach — to rzeczy kosztowne, a nie zbyt silne. Uznał przynajmniej w części słuszność mych uwag. Zresztą od projektu i planu budowy kościoła do jego wykonania daleka droga, wiele rzeczy ulegnie zmianie wśród samej budowy.

Nauczyciel wspomniał mi, że ks. proboszcz z Jaragua chce dziś przybyć i porozumieć się ze mną w niektórych sprawach. Wiedziałem o tem, gdyż pisał już do mnie do

Hanzy, że przyjedzie do Ribeirao Cavallo i udzieli mi niektórych informacyi, odnoszących się do naszego ludu.

Niebawem nadjechał konno z Jaragua, by tego samego wieczora wrócić z powrotem. Po przywitaniu zaczął w zakrystyi rozwodzić swe żale i skargi na Polaków, że nie chcą płacić, ani na budowę kościoła parafialnego, ani na budowę tutejszej kaplicy, dzieci też nie posyłają do wspólnej szkoły, jak się do tego zobowiązali. Dobrze się stało, że poprzednio wysłuchałem był już użaleń naszych kolonistów, mogłem się już teraz obronić. Odpowiedziałem mu przeto, że o ile zauważyłem, głównym powodem nieporozumienia jest to, że na ich liczne prośby nie sprowadził im już przeszło rok polskiego księdza, któryby ich spowiedzi wysłuchał, z tego powodu nie byli nawet tego roku u spowiedzi wielkanocnej, a przecież prawie wszyscy nie umieją po niemiecku. My chętnie i bezinteresownie usłużymy. Zakończył ostatecznie konkluzyą, że mają księdza polskiego, okazał im swą dobrą wolę, oni toż samo uczynić powinni. Zapewniłem go, że na Polaków w tym duchu wpływać będę w czasie mego pobytu, i zrobiłem mu nadzieję, że stosunki zapewne dobrze się ułożą. W tym celu nawet, dodałem, jadę na ich tyfę, żeby im się bliżej przypatrzeć i lepiej ich poznać.

Tymczasem Kaczmarski już nadjechał i przyszedł do zakrystyi z oznajmieniem, że na mnie czekają. Niebawem dziarskie koniki unosiły nas pospiesznie do siedzib polskich, na Braço do Cavallo. Mieliśmy do przebycia siedem kilometrów, a słońce już miało swe oblicze zasłonić, ustępując pierwszeństwa ciemnościom nocy. Uderzył mnie czerwony, krwisty kolor tarczy słonecznej, jakiego się w Europie wcale nie widzi. Na moje spostrzeżenie i zapytanie odpowiedział doświadczony kolonista, który końmi powoził, że to na deszcz, najpóźniej za dwa lub trzy dni mieć będziemy deszcz, którego już bardzo było potrzeba i o który ludzie się od kilku dni modlili.

Przyznać muszę mu racyę, że się nie pomylił, bo jeszcze

w czasie mego pobytu u nich, na drugi dzień szedł łagodny deszczyk.

Tymczasem nadjechaliśmy do ich tyfy. Kazałem mu całą kolonię przejechać, chciałem bowiem przypatrzeć się mieszkaniom i zabudowaniom naszego ludu, osiadłego w tej okolicy. Z domów i mieszkań już wiele wnioskować można o zamożności, czy ubóstwie lub porządku właściciela.

Ogólnie mówiąc mają się tutejsi Polacy dobrze. Mieszkania jużto murowane między belkowem wiązaniem (mur niemiecki), jużto z drzewa zbudowane, porządek obok nich, a na rozległych łanach pięknie stoi kukurudza, która tu stanowi największe bogactwo kolonisty, gdy obrodzi. Z niej robi sobie mąkę i piecze chleb, nią żywi swe konie, trzodę chlewną, a nawet drób.

W drodze powrotnej z objazdu po kolonii wstąpiłem na kwaśne mleko, które wśród tutejszych skwarów jest prawdziwym specyałem, do niejakiege Stanisława Filipa, pochodzącego z Galicyi wschodniej, z pod Chodorowa. Ucieszony kolonista nie posiadał się z radości. Należy on do „inteligentniejszych" osadników, bo umie czytać i nieco pisać po polsku, uczył nawet kilka miesięcy dzieci polskie w swem mieszkaniu.

Wieczorem zeszli się niemal wszyscy koloniści, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, nawet dzieci, do Andrzeja Kaczmarczyka, gdzie zamieszkałem, tak że złodziej nie miałby wiele trudu z powiększeniem swego majątku przez przywłaszczenie cudzej własności w opuszczonych domach. Po kolacyi zacząłem swą pracę od dzieci: pytałem ich pacierza, a starsze nieco o Bogu, o tajemnicy Trójcy św. i o Sakramentach. Rozdawałem wszystkim obrazki jako nagrodę lub zachętę do nauki pacierza i religii, z tą groźbą, że jeźli się dostatecznie nie wyuczą albo rodzicom będą niegrzeczne i nie posłuszne, na przyszły raz — gdy przybędę — obrazki poodbieram napowrót.

Z ojcami i gospodarzami radziliśmy o różnych pożytecznych sprawach. Zachęcałem ich do założenia polskiej

szkółki samoistnej, aby dzieci mogły się bodaj nieco nauczyć czytać i pisać. Namowy i przedstawienia moje na razie odniosły ten skutek, że wielu u mnie pozamawiało polskie elementarze i czytanki, które im przesłałem. Zostawiłem im również różne pożyteczne broszurki, jakie z sobą przywiozłem z Europy.

Polacy w Braço do Cavallo mają się nieźle pod względem materyalnym, ale i pod względem moralnym nie są złymi; znajdują się przecież i między nimi wyjątki.

Jest jeden notoryczny i niepoprawny pijak, który nawet do spowiedzi nie przyszedł. Opowiadano mi również o smutnym i zbrodniczym czynie, który się między nimi w czerwcu 1913 roku zdarzył; wspominały o nim i tutejsze gazety. Pewna lekkich obyczajów dziewczyna, Polka, Bronisława Węgrzynowska uplanowała ze swym kochankiem, Włochem, morderstwo. W nocy rzuciła się na swych starych opiekunów czy kmotrów z siekierą w ręku, w celu zamordowania i obrabowania ich z pieniędzy, jakie mieli posiadać. Poranili ich okrutnie, wywlekli następnie z mieszkania w tej myśli, że już nie żyją, i okradli, o ile im się udało. Dopiero około południa odkryto zbrodnię przypadkowo; zastano starych nieprzytomnych, ale jeszcze przy życiu. W kilka miesięcy wyleczyli się, częściowo tylko, w powiatowym szpitalu w Joinville. Zbrodniarzy także ujęto i osadzono we więzieniu, zaledwie na kilka miesięcy, na które je tutejsze pobłażliwe sądy skazały.

Wogóle zbrodnie i morderstwa są tutaj w Brazylii na porządku dziennym. Zamordować, zastrzelić człowieka, wcale wielkiego już zdziwienia lub wrażenia nie sprawia, bo na muzykach i zabawach, gdy sobie młodzież podpije, strzelanina z rewolwerów często się zdarza, i to o drobnostkę.

Znajdują się jednostki zdziczałe (wśród Kabukrów), co za kilka milrejsów są gotowi człowieka zastrzelić, który im nic nie zawinił. Opowiadano mi na Wermelu o jednym brazylianinie, który ma już dziewięć morderstw na sumieniu. Sądy takich zbrodniarzy nie karzą, gdy niema świadków,

ale w takim razie radzą sobie niektórzy w ten sposób, że nastawią, podmówią innego, który mordercę sprzątnie; klin klinem trzeba wybić.

W naszej parafii w Guarany-mirim i w Massarandubie mamy spokój, nawet młodzież rewolwerów i fakonów (noży wielkich) przy sobie nie nosi, inaczej jest już w Rio Vermelho, gdzie z powodu budowy kolei ludność, zwłaszcza młodzież oswoiła się zanadto z bronią, to też na zabawach strzelaniny i kaleczenia nie rzadko się zdarzają.

Okazuje się z tego, że można tu w Brazylii w łatwy sposób, tanim kosztem zostać „męczennikiem“, nawet z ręki podstawionego człowieka, którego się nie zna i któremu się nic złego nie zrobiło.

Wróćmy jednak do przedmiotu, od którego mimowoli odstąpiłem.

Nazajutrz po godzinie 4. zrana wyjechaliśmy do kaplicy w Ribeirao Cavallo, abym mógł zaraz mą pracę od słuchania spowiedzi rozpocząć, gdyż już dnia następnego po godz. 9. miałem odjechać. Ludek nasz również za mną zdążał wozem, konno lub pieszo, jakby na odpust. Praca szła raźno naprzód; nieco więcej miałem roboty z katechizacyą dzieci, które się licznie zebrały z tej i z sąsiedniej kolonii. Wybrałem siedmioro starszych, które miały przystąpić do pierwszej spowiedzi i Komunii świętej. Uczyłem ich przed i po południu najgłówniejszych prawd wiary i o Sakramentach świętych, zwłaszcza Pokuty i Ołtarza. O tyle przynajmniej doznałem ulgi, że przez czas katechizacyi mogłem wyprostować kości, znużone ciągłem siedzeniem w konfesyonale. Tegoż dnia wieczorem wyspowiadałem dzieci, a nazajutrz, w sobotę rano, przyjęły po raz pierwszy swego Zbawcę w Komunii świętej.

Mimo wielkiej pracy odprawiłem i po południu dla ludu błogosławieństwo Najśw. Sakramentem i wygłosiłem naukę, by nakarmić dusze, już od tak dawna pragnące pokarmu duchownego. Spowiedzi słuchałem do późnego wieczora; nie wiele zostało mi już nazajutrz.

Nieco trudności mieli koloniści, gdy im kazałem śpiewać pobożne pieśni w kaplicy. Początkowo nie szło im, bo tu zawsze Włosi śpiewają; sam im przeto zaczynałem i pomagałem. Wreszcie zdobył się na odwagę Galicyanin, Filip, który im przodował, przewodniczył w odśpiewaniu litanii loretańskiej do Najśw. Panny, z różnymi dodatkami, tak pod względem treści, jako i melodyi.

Następnego dnia rano już po godzinie 4. zacząłem spowiadać, aby wszystkich wysłuchać, a w dodatku na pociąg się nie spóźnić. Udało mi się celu dopiąć. Wyspowiadałem wszystkich, około 100 osób; miałem nawet tyle czasu, że mogłem powiedzieć im naukę, zachęcając ich do przykładnego i pobożnego życia i do wytrwałości w dobrem.

Prosili mnie natarczywie, abym u nich i dnia następnego na niedzielę pozostał, mieliby wtedy uroczyste nabożeństwo niedzielne. Jednakże musiałem im odmówić, bo już zapowiedziałem nabożeństwo w Rio Vermelho, nie można przeto było im robić zawodu. Także i ten powód przemawiał za powrotem, że na Wermelu więcej ludzi korzystać będzie ze mszy św., niektórzy może i inne sprawy mieć będą do załatwienia, jak np. dzieci do chrztu. Natomiast przyrzekłem tamtejszym Polakom, że na przyszły raz dłużej u nich zabawię, przynajmniej trzy dni całe, aby ludzie mogli lepiej podzielić się z przystąpieniem do świętych Sakramentów, a dzieci więcej skorzystać z nauki religii.

O godzinie 9. byłem już gotowy do wyjazdu. Dzięki nowo zbudowanej kolei, po południu byłem już na Rio Vermelho, gdzie wieczorem słuchałem spowiedzi. Wermelanie mieli tego roku często księdza z powodu budowy kościoła; odtąd mieć go będą stale dwa razy na miesiąc, jak im to przyrzekłem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. J. Góral.

Wśród wychodźców naszych w Danii.

(Ciąg dalszy).

Nic równie pięknego jak przejazd statkiem przez słynny Sund. Książę poetów duńskich ostatniej doby, Holger Drachmann, Wyspiański Duńczyków, zestawia go z Bosforem i z zatoką neapolitańską; a z animozyą sobie właściwą ceni powaby Sundu nawet wyżej aniżeli to, co dać może widok dwu tych czarownych zakątków Morza Śródziemnego. Ale choćby to przesadą tchnęło, to przecież naprawdę ma się tutaj czem oko napawać. Płynąc „Cimbrią" na północ z Kopenhagi mieliśmy przez parę godzin wybrzeża Szwecyi po prawej, a Danię po lewej ręce. Jest kilka kilometrów odległości, ale widać dobrze stare miasto Malmö z zamkiem, w którym przed wiekami więziono hrabiego Bothwella, męża Maryi Stuart; widać też mniejsze, lecz starsze jeszcze miasto Lund; niegdyś, w średnich wiekach, stolica potężnych arcybiskupów, przed których gniewem niejednokrotnie i tron królów szwedzkich się chwiał; dziś jeszcze sterczy ku niebu złotymi promieniami zachodzącego słońca oblana wspaniała budowa, starożytny, cenny zabytek, katedra w romańskim stylu, w r. 1145. przez arcybiskupa Eskila konsekrowana, świadek świetnej niestety minionej przeszłości katolicyzmu w południowej Szwecyi. Dalej widok po prawej stronie okrętu dosyć jednostajny. Za to tem więcej rozmaitości przedstawia wybrzeże duńskie. Zrazu Hellerup, potem Charlottenlund i Klampenborg, to nie przerwane pasmo najpiękniejszych wil i pałaców zbytkownych, od Kopenhagi począwszy; wśród nich wille książąt i królów europejskich; do najpiękniejszych na-

leży park i pałac letni cesarzowej rosyjskiej. Tuż obok Charlottenlundu w Ordrup kolegium OO. Jezuitów niemieckich, w którem bardzo wielu młodych ludzi z polskiej arystokracyi pobiera nauki i dlatego też stale tu bawi jeden z Jezuitów krakowskich dla nauki języka polskiego. Nizkie są wybrzeża dalej, ale wszyscy wybiegli z kajut podziwiać zachód słońca. Podłużna smuga czerwonego złota rozlała się w kierunku zachodnim od czuba okrętu; drży i migoce niespokojnie na falach morskich. Przed nami płynie stale w równej odległości od nas jakiś okręt, który w kontraście złotem oblanego morza ma pozory czarnego upioru. Liczne mewy towarzyszą statkom, a wybiegając naprzód lub okrążając okręt, nikną w pożarach morskich. Nikt nie jest obojętny na to wspaniałe widowisko. Słowacki w takiej chwili stworzył jedną z najpiękniejszych pereł poezyi naszej, wyśpiewał: „Smutno mi, Boże“. Rozśpiewało się i nasze towarzystwo, a widocznie nastrojeni na taką samą nutę, bo smutne, bardzo smutne melodye nucili. Ziębnie powietrze, nad lasami zaciążyły szare mgły, coraz ciemniej się robi. Nikt jednak nie wraca do kajut. Zwęża się przejazd. Dojeżdżamy do miejsca w Sundzie, gdzie naprzeciwko siebie stanęły duński Helsingör i szwedzki Helsingborg, dwa miasta, które w dziejach Danii i Szwecyi ważną rolę odgrywały. W Helsingör byłem wczoraj, bo tam jest dom konfratrów naszych z Paryża; mają duńską parafię, a w niej także i robotników polskich. Losem Polaków wcale się nie zajmują, bo nie rozumieją języka; językiem duńskim płynnie i pięknie włada X. Flynn, ale nie może się do duńskiego włożyć X. Wattiez, pomimo 8 lat tu już spędzonych; jego duńskich kazań Duńczycy nie rozumieją. Zaprowadził mnie do zamku Kronborg odbudowanego przez Chrystyana IV., który tak czynny brał udział w wojnie trzydziestoletniej. Dziś zamek ten urządzony jest jako koszary i szkoła oficerska dla piechoty. Tuż za bramą renesansową jest „taras przed zamkiem pod Helsingör“, na który Szekspir w Hamlecie wyprowadza ducha króla duńskiego przed straże nocne. Głęboko w kazamatach zamko-

wych siedzi duch opiekuńczy Danii, Holger Danske, z brodą w marmurowy stół wrośniętą, i budzi się i do czynu zrywa, ilekroć ojczyzna w niebezpieczeństwie. Znane to zresztą z pięknych opowiadań Andersena. — Tu dawniej wszystkie okręty musiały duńskiemu rządowi się opłacać, ale przed kilkudziesięciu laty złożyły wszystkie interesowane państwa jednorazową opłatę 70.000,000 marek i dziś cła już niema.

Byłem wczoraj i w Marienlyst, najkomfortowniejszem miejscu kąpieli morskich nad Sundem i pokazywano mi piramidę z piaskowca, o której z pietyzmem się mówi, że pokrywa grób Hamleta. Ale ktoś, dla którego prawda więcej miała wartości, niż legenda, zaraz dodał, że piramida z XVIII. wieku pochodzi.

Z okrętu wieżyce zamkowe było widać na czerniejącym horyzoncie, ale duchy Szekspirowskie zostawiły nas w spokoju.

Wypłynęliśmy na szerokie morze, na Kattegat; straciliśmy z oczu tak Danię jak i Szwecyę. Mało kto spał; zbyt piękna noc, nie bardzo ciemna, raczej szara; wielu zostało przez całą noc na pokładzie, a grupa chłopaków niezmordowanie śpiewała aż do świtu.

Nad ranem spostrzegliśmy z daleka na zachodzie coraz wyraźniej zarysowujący się kawał lądu. To Jutlandya, do której zmierzaliśmy. Z pełnego morza dostał się okręt nasz do cieśniny, do Limfjordu. O ile mowa o fjordach, to zwykle mamy na myśli wązkie, ciasno w ląd wrzynające się morze z wysokiemi, stromemi wybrzeżami. To byłby norweski gatunek fjordów. Dania cała jest nizinna, pagórek 157 m. wysoki już nazywa się szumnie Himmelsbjerg, a najwyższe góry całej Danii to Barnehoj (172 m.), to znaczy niższe nawet od Bartlówki lub Niedźwiedziej Góry. To też fjordy jutlandzkie nie mają grozy skalistych poszarpanych wybrzeży norweskich; wszakże nie są pozbawione pewnego uroku. Limfjord zresztą znów tem przewyższa inne, tak duńskie jak norweskie fjordy, że jest najdłuższy, bo sięga od morza do morza, od Kattegatu aż do Morza Północnego. Znakomicie

nadaje się do chowu ostryg i dlatego też największe kultury ostryg duńskich tu właśnie się mieszczą.

„Cimbria“ kotwicę zarzuciła w Aalborg wśród fjordu. Była rano godz. 9. Z powodu mszy św. śpieszyło mi się. Parafia w Aalborg należy do OO. Kamilianów. Przełożonego tej misyi, Ojca Sassen, już uprzedziłem listownie o swojem przybyciu i o celu przybycia.

Po mszy św. należało mi się postarać przedewszystkiem o oryentacyę.

W fatalnem znalazłem się położeniu. Pomimo całej uprzejmości, z jaką się spotkałem u tutejszych księży, przecież nikt nie był w stanie dokładnie mnie poinformować, gdzie są Polacy i jak najpraktyczniej pastoracyę urządzić. Na całej przestrzeni Jutlandyi niema ani jednego księdza, któryby cośkolwiek po polsku umiał; to też Polakami tutejsi księża wcale się nie zajmowali i całą troskę o nich zostawiali przyjezdnemu księdzu, który raz, najwyżej dwa razy do roku wśród nich się zjawiał. Teraz, po śmierci X. Knapena nikt nic nie umiał powiedzieć o Polakach. — Wymienił mi X. Sassen parę miejscowości, w których przypuszczalnie pracują polscy robotnicy. Na chybił trafił puściłem się w drogę w tym samym jeszcze dniu. Pojechałem do Hjörring koleją. Na stacyi dowiaduję się, że najbliższy dwór z polskimi robotnikami to Haestrupgaard, odległy o 7 km. Wozu nie mogłem nająć, trzeba było pieszo to zrobić.

Walizę podróżną i kuferek z przyborami liturgicznymi zostawiłem w poczekalni i udałem się w drogę. Po 1½ godzinnym marszu przybyłem do Haestrupgaard. Ale niema Polaków! Posyłają mnie do drugiego dworu o ½ godziny dalej. Znajduję tylko dwu. Ci mi odpowiadają, że w pobliżu jest ich więcej. Ciemno już było, ale nie było co długo się namyślać. Tych dwu zabrałem z sobą, po drodze zagarnęliśmy jeszcze jednego i razem ruszyliśmy do Astrup. Znowu cała godzina zeszła. Serdecznie umęczony dotarłem do kasarni. Nieduża, stara buda w lesie, w niej polscy robotnicy z parafii zakliczyńskiej nad Dunajcem. Dwu chłopaków po-

słałem po pakunki na dworzec. Mieli koła, więc prędzej szło. Wrócili o 11 godz. w nocy; postawiwszy ołtarzyk, ubrawszy się w sutannę i komże, przygotowałem ich do spowiedzi św. i zaraz zacząłem spowiadać. — Część wyspowiadałem, resztę odłożyłem na jutro. Chciałem trochę spocząć, poszedłem spać. Ale niedługo używałem wywczasu. Podłe, stęchłe dał mi posłanie dzierżawca dworu. Przed świtaniem zebrałem się i poszedłem do kasarni, gdzie też już ruch się robił. Nastąpiła reszta spowiedzi, przygotowałem ich do Komunii św., odprawiłem mszę św., dałem im Komunię św. i zachęciwszy do wytrwania w dobrem, udałem się pieszo znowu na dworzec w Hjörring. W protestanckim szpitalu w Hjörring było dwoje chorych; poszedłem ich odwiedzić, ale żałowałem, że Sakramentów św. dać im nie mogłem.

Stąd koleją do Frederikshavn, potem tuż nad morzem jeszcze dalej na północ do stacyi Aalbaek. We dworze Gaardbogaard jest kilkunastu Polaków, częścią z Galicyi, częścią z Królestwa. Kasarnię mają poza dworem, tak że w zupełnem odosobnieniu mieszkają. Od stacyi zaszedłem do nich za 2 godziny, zostawiwszy znowu przybory liturgiczne w Aalbaek. Mieszkanie mają daleko schludniejsze, aniżeli w Astrup. Właściciel dworu bardzo uprzejmie mnie przyjął i zwolnił ludzi chętnie od pracy na dzień następny. Nie mogłem tracić czasu i zaraz się do nich udałem, zapowiadając na dziś wieczór i jutro rano nabożeństwo. Zacząłem od przemowy. Potem dopytywałem się o innych jeszcze Polaków w okolicy. W pobliżu cegielnia, i tam kilku Polaków pracuje; nieco dalej, ale w różnych kierunkach osady gospodarzy duńskich, a na każdej po 3—4 robotników polskich. Po przemowie więc porozsyłałem na wszystkie strony posłów, żeby pozawiadamiali i zaraz sprowadzili Polaków zewsząd; jedni na kółkach, inni pieszo poszli na zwiady. Pozostałych zaraz słuchałem spowiedzi, aby ci, którzy później przyjdą, nie potrzebowali długo czekać. Poprzychodzili z Raabjerg, z Eskjaer, z Stensbek, z Elkjaer i Klithusene; niektórzy dopiero nad

ranem. Wszystkich do spowiedzi i Komunii św. miałem niewięcej jak 40.

O dziewiątej godzinie zrana byłem już gotów do odjazdu. We dworze zapowiedziałem, że muszę rychło wyjeżdżać, aby wyszukać jeszcze Polaków dalej ku północy zajętych. Uprzejmość dziedzica była tak wielką, że na godzinę zapowiedzianą stał jego automobil przed mojem mieszkaniem i odwiózł mnie do stacyi. Nie szła jazda chyżo, bo brnęliśmy w piasku. Cały majątek Gaardbogaard, dziś parę tysięcy morgów liczący, stoi na miejscu dawniej przez step i moczary zajętem; a co dziś jest pod pługiem lub zalesionem, świadczy o celowej i wytrwałej pracy 25-letniej p. Larsena. Wśród opowiadań o tem, w jaki sposób się to dokonywało, dojechaliśmy do Aalbaek, skąd koleją pojechałem do Skagen.

Pytałem się o Polaków; nikt mi ich nie umiał wskazać. Szukałem dworów, niema tu ich wcale. Ziemia nieurodzajna, jałowe, morskie, wypłukane piachy, na których chyba trawa morska i lichy wrzos wyrośnie lub oset nadbrzeżny. Toteż po ziemi tu się nikt nie spodziewa, czego ona dać nie może. Ludność miasteczka żyje z rybołóstwa i z letników, których rzesze nieprzeliczone tu przebywają. Parę godzin chodziłem, nigdzie o Polakach nie wiedzą. Wreszcie w znaczniejszej wędzarni ryb, gdzie kilkoro zajętych robotników, spotkałem chłopaka 18-letniego, który z polskich pochodził rodziców. Sam jednakże tylko chrzczony był w katolickim kościele w Aalborg, a potem już kościoła nie widział; na naukę religii w latach szkolnych do pastora protestanckiego chodził, bo do najbliższej katolickiej stacyi misyjnej w Aalborg 113. km. odległości. Rodzice jego, z Prus Zachodnich od Gdańska, mówią między sobą jeszcze łamaną polszczyzną, ale rzeczami wiary niewiele się interesują; syn po polsku parę wyrazów zaledwie rozumie, a czy wiarę ojców swoich kiedy znajdzie, Bóg raczy wiedzieć. Robiłem, co mogłem, aby żywo im przedstawić ich opłakany stan, ale słowa moje wrażenia nie robiły. Kiedy im zaproponowałem, że chętnie zostanę u nich do jutra, pouczę o Sakramentach i naj-

ważniejszych rzeczach wiary, wyspowiadam ich i mszę św. jutro odprawię, znaleźli sto różnych powodów, dla których to było wprost niemożliwem. Pozostawało mi tylko jedno, zaprosić ich na niedzielę do Aalborg, bo tam będę wtedy cały dzień pracował. Obiecali, przyrzekli, że na pewno przybędą, ale kiedy w niedzielę szukałem ich w kościele, niepodobna ich było odkryć.

Od nich dowiedziałem się, że jest w Skagen jeszcze jeden Polak, jako robotnik przy stacyi ratunkowej. Ale był właśnie wyjechał na morze razem z trupą ratunkową, bo dziś wiatr szczególnie ostry i gwałtowny, więc lada chwila może ich pomoc być potrzebna. Jutlandya wązkim językiem kończy się na północy i sterczy w morze. Największe niebezpieczeństwa tu grożą okrętom. Powodują je nagłe zmiany w kierunkach wiatrów, a oprócz tego i ta okoliczność, że tu właśnie borykają się z sobą dwa morza. Gwałtowne, burzliwe fale morza Północnego napadają na spokojny Bałtyk. Statki idące tędy z Kopenhagi do Chrystyanii czy Chrystyansundu nieraz po kilka godzin zmagają się ze spienionemi falami. W tym dniu właśnie wichry i fale porwały i poniosły duży żaglowiec na mieliznę, gdzie się na bok pochylił i z załogi stracił dwu mężczyzn; resztę uratowano.

Widząc, że tu nie mam więcej co robić, wróciłem do Frederikshavn. Udałem się do portu, aby się rozejrzeć w rozkładzie jazdy parowców. Zamierzałem przeprawić się na wyspę Laesö, bo słyszałem, że tam są 2 dwory, a przynajmniej jeden z nich zatrudnia polskich robotników. Musiałem czekać: odjechał okręt do Göteborgu, poszedł inny do Chrystyanii, a tamten idzie do Kopenhagi, mój parowczyk jeszcze się nie rusza. Stary był, ale dosyć wygodnie urządzony. Odpłynęliśmy. Za 2 godziny był w Vesterö, maleńkim porcie wyspy Laesö. Za pół godziny byłem w Byrum. Rzeczywiście byli tu Polacy, jakkolwiek tak trochę wbrew nadziei ich szukałem. Wszyscy z Galicyi. Nigdy księdza jeszcze tu nie było. Bardzo się ucieszyli na mój widok. Dziwnych rzeczy się od nich dowiedziałem. Pracują nietylko w roli,

ale pomagają także w rybołóstwie, w suszeniu i wędzeniu ryb. Otóż jeden z nich obrał sobie za specyalność tropienie i tępienie psów morskich. Jest ich tu bardzo dużo i w słoneczne dni wychodzą z wody na rozgrzany piasek lub kamienie. Wtedy zastawia się zasadzki na nie lub strzela się je. Jest rządowa premia za ubicie każdego psa morskiego, a to dlatego, że uchodzi za bardzo wielkiego szkodnika. Nietylko szkodzi tem, że jest żarłoczny i mnóstwo ryb pochłania, ale i przedewszystkiem dlatego, że pracę sobie upraszcza i najchętniej idzie sobie po ryby do zastawionych sieci. Tu znajduje stół obficie zastawiony i we wszelkiej wygodzie folguje swojemu gustowi. Zjada jedne łakomie, inne zagryza i rzuca, a nasyciwszy się, na psotę targa sieci i wypuszcza ryby, udaremniając w ten sposób pracę rybaków. Nie znają też gorszego rabusia i zawzięcie go prześladują.

Nazajutrz tensam parowczyk rano odwiózł mnie z wyspy do Frederikshavn, skąd kolejką nadbrzeżną przez Saeby trzeba mi było dostać się do Dronninglund.

Zrobił się już 17. lipca. Wieczorem tego dnia zajechałem do stacyi Dronninglund, stąd końmi wynajętymi do dworu Dronninggaard. O ile dzierżawca dóbr rycerskich był uprzejmym i zdaje się uczciwym człowiekiem, o tyle musiałem się wstydzić za Polaków, przynajmniej za część ich. Kilkunastu zastałem we dworze; zaraz ich zgromadziłem w kasarni; obrałem największą izbę, kazałem wymieść, porządek zrobić, przynieść stół i parę ławek. Ściany obili zielenią, na stole rozłożyłem obrusy i portatyl, ubrałem się w komżę i stułę, koszary zamieniły się na kościół. Kazałem świeczki na ołtarzyku pozapalać, poklękaliśmy, odmówiłem z nimi litanię do wszystkich Świętych, a po niej powiedziałem kazanie. Dowiedziałem sie, że wielu brak z najbliższego sąsiedztwa. Posłałem po nich. Tymczasem, czekając znowu, odprawiliśmy cząstkę różańca i znów jedną naukę powiedziałem. Kilkoro jeszcze przybyło. Zrobiłem z nimi przygotowanie do spowiedzi, ale nazajutrz rano ledwie połowa klęknęła do spowiedzi, bo drugą połowę stanowiło kilka dzikich małżeństw. Wiedzieli

więc dobrze, że nie mogliby dostać rozgrzeszenia. Bez troski o legalność związku, w tępocie moralnej i umysłowej żyją z dnia na dzień bez Sakramentów, od kilku już lat. Wchodziłem im na sumienie, jak tylko umiałem, ale widziałem, że tępota moralna, odrętwienie sumienia zbyt daleko już były posunięte. Byli to ludzie z Królestwa. Do ślubu kościelnego dotąd się nie stawili, zastawiając się niemożliwością wystarania się o papiery. Obiecałem im, że sam podejmę się starać o papiery potrzebne, sam napiszę do Królestwa; niech tylko przyjdą do mnie do Aalborg w niedzielę, gdzie dużo Polaków poschodzi się z całej okolicy. Przyrzekli, jakkolwiek odległość z Dronninggaard do Aalborg wynosi 40 km. i jazda koleją w jedną i w drugą stronę zabiera cały dzień czasu.

Z odrazą, ze wstrętem w duszy opuszczałem ten dwór, gdzie tyle zepsucia zagnieździło się między polskimi robotnikami.

Z 18 na 19 lipca założyłem sobie pracować w innej stronie w Nytoftegaard. Dojechałem do stacyi Aabybro i znów musiałem zacząć od szukania furki, bo stąd do dworu jeszcze 11 km. Znalazłem wreszcie chłopa duńskiego, który podjął się zawieźć mnie tam koszykiem na dwu kołach za drogie pieniądze.

Parę dni temu telefonicznie zawiadamiałem dziedziców dworu Gameltoftegaard i Nytoftegaard z prośbą, by w oznaczonym dniu uwolnili robotników na parę godzin i w sąsiednich dworach wiadomość o mojem przybyciu rozgłosili. Zajechałem do Gameltoftegaard, Polaków niema. Pojechałem dalej do Nytoftegaard. Źle, ordynarnie mnie przyjęto. Chciałem najpierw przedstawić się właścicielowi; choć wiedział, o której godzinie przyjadę, postarał się o to, by nie być w domu. Udałem się do koszar robotniczych; tam go zastałem; zrzędził, narzekał, rzucał się, że Polaków sprowadził do roboty, a nie dla nabożeństw. Pominąłem go, z robotnikami pochodzącymi z pod Tarnowa zacząłem się układać o najstosowniejsze godziny do kazań, spowiedzi, mszy św. Uwolnił ich wreszcie. Po jednej i drugiej nauce, po długiem czekaniu na

przybycie robotników z innych dworów, odprawiłem jeszcze jakieś nabożeństwo, odkładając spowiedź do jutra. Bardzo późna noc już była, trzeba było pomyśleć o spoczynku. Poszedłem do mieszkania, wskazanego mi przez właściciela. Odprowadziło mnie dwu Polaków. Poszedłem spać z goryczą w duszy, bo widocznie chciano mi dokuczyć. Na nocleg dano mi haniebną dziurę, podłe mieszkanie, wilgotną, stęchłą pościel na spróchniałem łóżku; w nocy szczury wyprawiały harce na podłodze i pod łóżkiem. Musiałem to przyjąć, bo strasznie byłem zmęczony, kilka nocy już po parę tylko godzin sypiałem, a we wsi nie dostałbym gdzieindziej mieszkania. Ale ledwiem trochę się zdrzemnął i przemógł najgorsze zmęczenie, uciekałem z tej nory, w której i psa grzech byłoby trzymać. W notatkach z tego dnia zapisałem: „Św. Wincenty mnie doświadcza albo karze; ale czy jedno czy drugie — strasznie twarde".

Dziś 19 lipca, uroczystość św. Wincentego.

Wyspowiadałem tu zaledwie dziewięciu, reszta nie raczyła się stawić z dalszych dworów.

Wróciłem do Aalborg do OO. Kamilianów, bo była to sobota, a wszędzie, gdzie dotąd byłem, rozgłaszałem, że w niedzielę 20 lipca przez cały dzień będę pracował w Aalborg, że więc wszyscy z dalszych nawet okolic tam mają się pozjeżdżać.

(C. d. n.)

X. W. Szymbor.

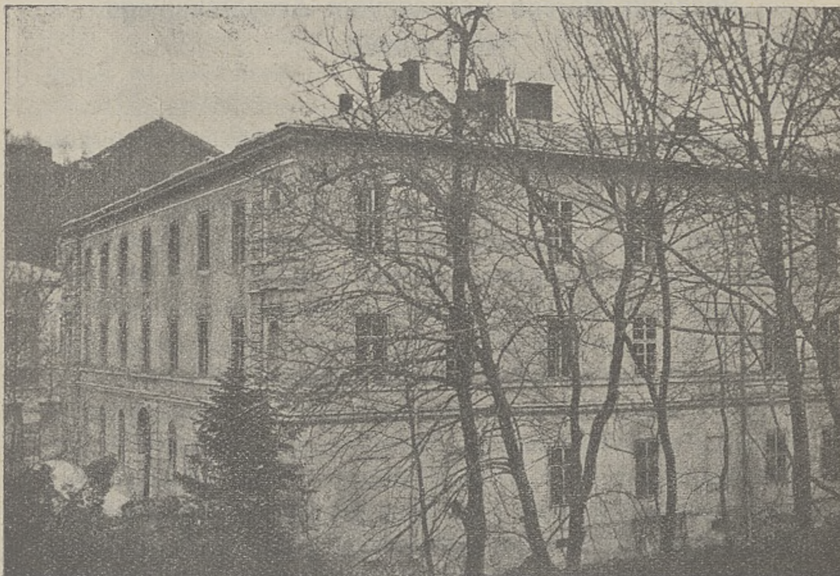
Początki Małego Seminaryum Arcybiskupiego we Lwowie.

Założycielem Małego Seminaryum [1]) był ś. p. arcybiskup Franciszek de Paula Pisztek, jeden z najznakomitszych pasterzy, którzy zasiadali na tronie Bł. Jakóba Strepy.

Ks. arcyb. Franciszek Pisztek urodził się w Czechach, miasteczku Perczyce dnia 6 kwietnia 1786 r. Po ukończeniu nauk szkół średnich wstąpił do Seminaryum duchownego, spełniając w ten sposób najgorętsze swoje marzenia od dziecięcych lat. Zostawszy kapłanem, zasłynął darem rzadkiej wymowy kaznodziejskiej oraz umiejętnością katechizowania dzieci. Przeszedłszy szybko wszystkie stopnie hierarchii kościelnej, został w r. 1823 powołany na kanonika gremialnego kapituły praskiej. W kilka lat później otrzymuje godność biskupią i zostaje sufraganem dyecezyi. Kiedy przez śmierć bpa Zieglera dyecezya tarnowska osieroconą została, wtedy cesarz Franciszek przedstawił Ojcu św. Grzegorzowi XVI. Franciszka Piszteka jako godnego objąć tę stolicę biskupią, co się też i stało w r. 1832. Niedługo jednak pozostał on w Tarnowie. Bo już w trzy lata później (1835) obejmuje stolicę metropolitalną we Lwowie, osieroconą przez ustąpienie X. arcyb. Franciszka Luschin, który był kapłanem niezwykłych przymiotów ducha i serca, jednakże dla braku znajomości języka polskiego, nie mógł skutecznie pracować i dlatego przeniósł się z woli Ojca św. na stolicę w Gorycyi,

[1]) Zakład ten powierzył ś. p. ks. arcyb. Morawski naszemu Zgromadzeniu w r. 1899.

gdzie umarł w r. 1864. Gorliwy Arcypasterz, obdarzony niezwykłą bystrością, zrozumiał swe posłannictwo w tej części Kościoła Chrystusowego. Staraniem jego było życie chrześciańskie, rozbudzone gorliwą pracą jego poprzednika, Arcybiskupa Ankwicza, podtrzymać i dopomagać społeczeństwu chrześcijańskiemu do zupełnego otrząśnienia się z pod wpły-



Małe Seminaryum Arcybiskupie we Lwowie.

wów Febronianizmu i Józefinizmu, które głęboko wżarły się w życie Kościoła i niszczyły jego soki u podstaw.

Ks. arcyb. Pisztek zwrócił w swej działalności baczną uwagę na wychowanie młodzieży. W tym celu sprowadził do Lwowa OO. Jezuitów i oddał im nowowskrzeszony konwikt szlachecki, umieszczony w gmachu obok kościoła św. Mikołaja.

W kilka lat później sprowadził do Lwowa Zakonnice N. Serca P. Jezusa (S. Coeur), które miały się zająć wychowaniem młodzieży żeńskiej.

W pracy nad ludem popierał Arcypasterz niestrudzenie misye ludowe. Największą jednak troską Arcybiskupa było wychowanie dobrego duchowieństwa. Miał bowiem tę świadomość, że kler „to światłość świata i sól ziemi“. Wiedział, że duchowieństwo z natury swego powołania jest przewodnikiem ludu, według przysłowia: „sicut sacerdos, ita et populus“. Żądał od duchowieństwa swego doskonałości życia i nauki.

W celu podtrzymania gasnącej często w boju codziennym życia gorliwości, zarządził wspólne rekolekcye dla kapłanów po dekanatach, a nawet wspólne z całej dyecezyi, podówczas rzecz niebywała, we Lwowie. Głębiej jednak wnikał w swej pracy pasterskiej — patrzył w przyszłość. Arcybiskup Pisztek, głęboki psycholog i praktyczny nader rządca dyecezyi, wiedział, że wszelka reforma trwała i skuteczna musi się zacząć i dokonać od podstaw. I dlatego osądził, że i duchowieństwo dobre wychowa się jedynie wtenczas, kiedy w zaraniu życia, w młodości siać będzie się szczytne zasady Boże. Zresztą plan odnowienia Kościoła przez odnowienie ducha kapłanów nakreślił mistrzowską ręką Sobór Trydencki (sess. XXIII. cap. XVIII). Wskazuje Sobór na to, że celem wychowania gorliwego duchowieństwa, trzeba zacząć od młodzieży, w której tli iskra powołania Bożego. Trzeba tworzyć szkoły katedralne, zakłady, których zadaniem ma być zabezpieczenie młodzieży od wpływów złych a szczepienie zasad i cnót zgodnych z przyszłem ich powołaniem.

„Cum adulescentium aetas prona sit ad mundi voluptates sequendas et nisi a teneris annis ad pietatem et religionem informetur, antequam vitiorum habitus totos homines possideat, nunquam perfecte ac sine maximo ac singulari propemodum Dei omnipotentis auxilio in disciplina ecclesiastica perseveret: sancta Synodus statuit“ (słowa Sob. Tryd., sess. XXIII. cap. XVIII.).

Tę zasadę Soboru Trydenckiego, jakoteż praktyczne wprowadzenie w życie postanowień Soboru przez św. Ka-

rola Boromeusza, wziął sobie nasz Arcypasterz za wzór i cel.

Przedsiewzięcie nie było łatwe do spełnienia, dlatego też nosząc zamiar założenia Małego Seminaryum w duszy, chciał go uskutecznić dopiero później, jak o tem wspomina w testamencie. Bóg jednak nadspodziewanie zamiarowi pobłogosławił, bo znalazły się osoby, które go wsparły swymi funduszami i zachęciły do rozpoczęcia dzieła. Między osobami, które zamysły Arcypasterza bardzo popierały, był ówczesny gubernator Galicyi, arcyksiążę Ferdynand Este (od r. 1834—1846), mąż głębokiej bardzo pobożności. O sprawie założenia M. Seminaryum zawiadomił arcybiskup duchowieństwo dyecezyi okólnikiem z dnia 13 maja 1840 r. i wezwał je gorąco, aby w miarę możności jego zamiary datkami wspierało.

Jakoż istotnie Zakład otwarto, przyjmując z dniem 1 października 1840 r. pierwszych 9 uczniów, których umieszczono w domu (dworku) przeznaczonym dla ekonoma (księdza prowadzącego zarząd materyalny) Seminaryum kleryków. Dworek ten, o którym wspomina kronika, stał w miejscu, na którem obecnie stoi zakład. Tak dworek jakoteż i plac, na którym ów domek stał, był własnością funduszu religijnego, a należał do Seminaryum kleryków, jakoteż cały plac, na którym stoi dziś pałac arcybiskupi i ogród. Plac ten jakoteż i budynek Seminaryum kleryków należał dawniej do klasztoru Panien Karmelitanek bosych — przejęty został z czasem na własność funduszu religijnego.

Już od początku założył sobie X. Abp. Pisztek zbudować gmach Małego Seminaryum na miejscu owego domku dla ekonoma Seminaryum kleryków, a okok rezydencyę swoją arcybiskupią [1]). Do placu, na którym stał wzmiankowany domek, darowanego przez ces. Ferdynanda I. pod budowę M. Seminaryum (reskr. gub. z 4. września 1841), dokupił

---

[1]) Dawniej pałacem arcybiskupów lwowskich był gmach obecny przy Rynku l. 9, będący dzisiaj własnością fund. M. Seminaryum.

Arcybiskup grunt prywatnego właściciela oraz uregulował z miastem ul. Teatyńską prowadzącą od Czerwonego Klasztoru (OO. Teatynów) do miasta. Na placu tak powstałym miał stanąć budynek M. Seminaryum.

Przez czas budowania gmachu obecnego M. Seminaryum, mieszkali wychowankowie w jednem skrzydle gmachu Seminaryum kleryków. Kierownictwo zaś ich powierzone zostało Ks. Janowi Kaliniewiczowi, który podówczas był wikarym katedralnym. Kładł on więc podwaliny pod obecny Zakład, cztery lata poświęcając się młodzieży z największem wylaniem.

W czasie budowy gmachu M. Seminaryum, przypadł według przepisów kanonicznych termin, w którym śp. X. Arcybiskup obowiązany był udać się *ad limina Apostolorum* i zdać sprawę ze stanu archidyecezyi następcy św. Piotra, Grzegorzowi XVI. Ponieważ jednak osobiście X. Arcybiskup nie mógł wówczas przedsięwziąć podróży do Rzymu, przesłał Stolicy św. sprawozdanie ze swych rządów przez jednego z kapłanów. Między innemi sprawami, doniósł X. Arcypasterz o założeniu Małego Seminaryum we Lwowie. Sprawa ta zdała się tak ważną Papieżowi, że napisał do śp. X. Arcybiskupa własnoręczny list z datą 6 kwietnia 1842 r. [1]).

---

[1]) Venerabili Fratri Francisco, Archiepiscopo Leopoliensi.

Gregorius PP. XVI.

Venerabilis Frater, salutem et apostolicam Benedictionem.

Vir ecclesiasticus, quem datis ad Nos litteris destinasti, Venerabilis Frater, sacris Apostolorum liminibus vice tua visitandis, implevit iam Nobis probantibus mandatum tuum, prout etiam ex testimonio intelliges nostrae Congregationis Tridentinorum Decretorum Interpretis, quod simul cum hac epistola ad Te perferetur. Rescribet deinde, ut moris est, Congregatio eadem ad alias quoque litteras, quibus de sacrarum in Ecclesia Tua rerum conditione retulisti. Interea vix possumus explicare verbis, quam gratum cordi nostro acciderit, quod in primis illis brevioribus litteris significasti de minori Seminario a Te condito adolescentibus a prima aetate in Ecclesiae spem educandis. Haud facile invenire poteras pium aliud opus, in quod pecuniam curasque tuas utilius impenderes. Ita enimvero plene executus es praescripta Tridentinorum Patrum, qui recipi in Semi-

List ten brzmi w przekładzie polskim, jak następuje:

Grzegorz XVI., papież,

„Do Czcigodnego Brata, Franciszka, arcybiskupa lwowskiego.

„Czcigodny Bracie, pozdrowienie i błogosławieństwo apostolskie.

„Kapłan, którego Ty, Czcigodny Bracie, wysłałeś do mnie z listami, aby w Twojem zastępstwie udał się do grobów apostołów, spełnił ku naszemu zadowoleniu Twoje posłannictwo, o czem zaświadczy pismo Kongregacyi Soboru Trydenckiego, które równocześnie z tym listem zostanie Ci doręczone. Taż Kongregacya stosownie do zwyczaju odpowie jeszcze i na inne kwestye, które omawiałeś, kreśląc stan duchowny Twojej dyecezyi. Nie zdołam wyrazić słowami, jaką radość sercu naszemu sprawiła wiadomość o założonem przez Ciebie Małem Semi-

---

naria voluerunt nedum grandiores Clericos maioribus disciplinis vacaturos, sed pueros quoque vel ipsis grammaticae rudimentis imbuendos, eo scilicet sapientissimo consilio, ut adulescentium aetas, antequam vitiorum habitus totos homines possideat, a teneris annis ad pietatem et religionem informetur (sess. 23. Conc. Trid. cap. 18, de reform.). Restat modo, Venerabilis Frater, ut tuum istud tam praeclarum opus tueri et fovere omnibus modis non intermittas; ac tum ad eiusdem disciplinam, tum ad maioris item Seminarii curam constantissime incumbas, atque inter cetera advigiles, in litterariam Alumnorum institutionem, ne quid umquam obrepat, quod a sana doctrina alienum sit, vel periculosam sapiat novitatem. Haud equidem dubitamus, quin haec pro tuo pastorali studio iam praestes alacriter; sed hanc scribendi ad Te occasionem nacti, nostrum quoque esse duximus Fraternitati tuae addere animos ad virtutem. Quod superest, Te Venerabilis Frater, et utrumque Seminarium ac reliquum gregem tuum Deo et verbo gratiae Ipsius suppliciter commendamus ac superni huius praesidii auspicem, nostraeque praecipuae benevolentiae Apostolicam Benedictionem Tibi eidem, atque illis peramanter impertimur.

Datum Romae apud S. Petrum, die 6 Aprilis anno 1842, Pontificatus nostri anno duodecimo.

Gregorius PP. XVI. m. p.

naryum w celu wychowania młodzieży, która ma być nadzieją Kościoła. Zaiste, najzbożniejsze wybrałeś dzieło, godne Twych znojnych trudów i nakładu pieniędzy. Wypełniłeś w ten sposób dosłownie polecenie Ojców Soboru Trydenckiego, których życzeniem było, aby nie tylko starszych kleryków kształcić w wyższych umiejętnościach teologicznych, lecz by już w chłopców wpajać zasadnicze wiadomości naukowe, a to w tym celu, aby ukształcić w nich od pierwszych lat życia pobożność, zanim przyjdzie im walczyć z namiętnościami (sess. 23. Conc. Trid. cap. 18. de reform.). Ważnem jednak jest, Czcigodny Bracie, abyś stale miał na uwadze to piękne dzieło i dopomagał wszelkimi środkami do jego rozwoju. Czuwaj troskliwie nad poziomem naukowym Zakładu tego, jak również i większego Seminaryum, by się nie wkradło nic sprzecznego ze zdrową nauką i nic tchnącego zgubną nowością. Jakkolwiek nie wątpimy, że w gorliwości swej pasterskiej ochoczo to wykonujesz, to jednak, mając sposobność pisania do Ciebie obecnie, czujemy obowiązek zachęcić Cię do wytrwałości w tem dość trudnem przedsięwzięciu. Wreszcie polecamy, Czcigodny Bracie, Ciebie, Twoje obydwa Seminarya i Trzódkę Bożą, Tobie powierzoną opiece i łasce Boga, a jako zadatek tej Bożej opieki udzielamy tak Tobie, jakoteż wszystkim powierzonym Twej pasterskiej władzy, apostolskiego błogosławieństwa.

„Dan w Rzymie u św. Piotra 6 kwietnia 1842, w dwunastym roku naszego Pontyfikatu.

„Grzegorz PP. XVI. m. p“.

List ten napełnił niewymowną radością Arcypasterza i dostał otuchy do dokończenia rozpoczętego dzieła. Radością tą podzielił się X. Arcybiskup ze swem duchowieństwem, podając mu do wiadomości pismo Ojca św.

Trudności w budowie gmachu były wielkie. Koszta budowy obliczone na 300 tysięcy złr., na które Arcypasterz pokrycia nie miał. Spotkał się przytem z wielu stron z obojętnością — mimo to ufny w pomoc Bożą i Matki Najśw.,

pod której opiekę Zakład poświęcił, położył z wielką uroczystością kamień węgielny pod obecny gmach dnia 29 czerwca 1841 r. Obecny przy tym akcie był arcyksiążę Ferdynand Este oraz nieprzeliczone tłumy publiczności. Przemówił przy tej okoliczności pięknie sam Arcypasterz, wyrażając nadzieję, że z gmachu, którego mury zaczną się wznosić, wychodzić będzie na kraj cały „sól ziemi i światłość świata". Przemawiał także ks. kanonik Juliusz Gałdecki, ówczesny rektor Seminaryum kleryków. Budowa gmachu postępowała tak raźno, że w półtora roku gmach cały dwupiątrowy został wykończony. Poświęcenie uroczyste tego budynku odbyło się przez Założyciela z wielką jego pociechą dnia 29 września 1842 r. Przy poświęceniu gmachu przemawiał pierwszy Rektor Zakładu X. Kaliniewicz i mowę tę swoją drukiem ogłosił.

Nazajutrz po poświęceniu przesiedlił się cały zakład ze szczupłego lokalu, zajmowanego w prawem skrzydle Seminaryum kleryków, do nowego gmachu, do którego już na rok szkolny 1842/3 przyjęto 40 wychowanków. Gmach wybudowany został przeważnie kosztem własnym samego Fundatora, a w drobniejszej części wydatki pokryte zostały przez duchowieństwo i osoby prywatne.

Na froncie budynku, nad głównemi drzwiami umieszczona została marmurowa tablica, dar śp. Dziekana kapituły, X. Józefa Broniewskiego, z następującym napisem:

Aedes has Gregorio XVI. Pont. Max. et Imperatore
Ferdinando I. Gal. Lod. Rege Franciscus D. P.
Pistek Archiep. Primas pro pueris ad statum Cler.
educandis P.
A. D. MDCCCXLII.

X. J. Gaworzewski.

Z przeszłości obydwóch Zgromadzeń w zaborze rosyjskim.

VIII.

Działalność XX. Misyonarzy w Jakobsztacie [1]).

Non cognitum bonum nisi amissum...

Jakobsztadt, w Kurlandyi w obwodzie zelburskim, nad Dźwiną, założony przez księcia kurlandzkiego Jakóba, panującego od r. 1642—1682, otrzymał nazwę od jego imienia. Chociaż z czasem w tem mieście i okolicach jego znalazło się niemało wyznawców obu obrządków katolickich miejscowych, ale szczególniejszym zbiegiem okoliczności kościół unicki powstał tam nierównie wcześniej, bo już przywilej na świątynię otrzymali Unici w 1670 roku [2]) i długo bardzo potem w tym kościele, tak katolicy obrządku łacińskiego, jak i Unici czynili zadość swoim potrzebom religijnym, w zgodzie i miłości przez kapłanów unickich kierowani, którzy administrowali im Sakramenty i byli ich ojcami duchownymi.

Kościół unicki pod wezwaniem św. Mikołaja ukończono tam w lecie 1678 roku i oddano go w zarząd księdzu świeckiemu z archidyecezyi połockiej sprowadzonemu. Kler świecki rządził nim do początku XVIII. wieku, a potem OO. Bazylianie z prowincyi litewskiej gorliwie tam pracowali, mając z czasem nawet znaczną większość w swojej parafii wyznawców obrządku łacińskiego — dopóki można było, do-

[1]) Ciąg dalszy o XX. Misyonarzach w Łyskowie w zeszycie następnym.

[2]) Cfr. Unici w Kurlandyi, Przegląd Powszechny, 1894, VIII.

póki przemocą i gwałtem nie usunięto ich stamtąd; po nich tedy objęli duszpasterstwo i opiekę nad katolikami XX. Misyonarze.

Otóż naprzód powiemy nieco o Bazylianach jakobsztadzkich, a potem o działalności tam XX. Misyonarzy.

Bazylianie w Jakobsztacie.

Nie będziemy tu wchodzili w szczegóły fundacyi tej siedziby zakonnej, a zaznaczymy ogólnikowo, że początek jej sięga pierwszej ćwierci XVIII. w., mianowicie około r. 1715. Jan Dominik Borch, starosta lucyński, przyłożył się do powstania tu klasztoru [1]) i pierwotnego jego uposażenia, tudzież postawienia w tem mieście drugiej cerkwi unickiej pod wezwaniem Opieki N. M. P. (t. z. Pokrowy, Protectionis B. V. M.) przy której następnie główny znajdował się klasztor [2]).

Znamy superyorów jakobsztadzkich, choć nie wszystkich, pomiędzy rokiem 1716—1752, niektórych: O. Karpowicza, O. Piotra Bohuszewicza, O. Benedykta Michałowskiego, O. Smykowicza i O. Sergiusza Zyburta. W drugiej połowie XVIII. w. zaczynają się w tem mieście niesnaski pomiędzy unią a dyzunitami z powodu, jakoby, osobistej obrazy i sporów o posiadłości. Rezydent rosyjski, mieszkający w Mitawie, mieszał się w te sprawy i zaczął głosić o prześladowaniu dyzunii przez unitów, dominujących liczbą i znaczeniem w Jakobsztacie; zebrała się rządowa komisya w tych sprawach, ale z jej czynności dyzunici nie byli zadowoleni... Są też ślady o nawracaniu się na Unię lutrów i schyzmatyków.

O. Guépin w słynnem swojem dziele o Świętym Joza-

---

[1]) Cfr. Przegląd Powszechny l. c.

[2]) Jeszcze na początku XIX. w. w Jakobsztacie były 2. świątynie unickie, a jedna cerkiew dyzunicka, jak to powiada Ziabłowski, Ziemleopisanie Rossijskoj Imperii, Petersburg 1810. t. VI. p. 289; ale później już stosunek odmienny: jeden kościół unicki z klasztorem i dwie dyzunickie cerkwie, Bienenstamm, Geographischer Abriss der drei Ostseeprovinzen, Riga 1826. p. 407.

facie powiada, że w 1774. roku w tym klasztorze mieszkało trzech zakonników i uprawiano tam język łaciński i niemiecki, a p. Petrów, znany literat rosyjski [1]), utrzymuje, że około tego czasu była tam wykładana retoryka, gromadząca, jakoby, 200 słuchaczy, co się nam problematycznem wydaje i nigdzie zresztą nie znajdujemy potwierdzenia tej wiadomości. Że jakąś, zapewne parafialną, tam szkołę utrzymywano, to — pewno; nawet w XIX. wieku są jej ślady i wzmianki o niej. Następnie wiemy [2]), że około roku 1780. superyorował O. Olimpiusz Zajkowski, a kaznodzieją był O. Jazon Sarnowski, biegły w języku niemieckim i łotewskim, on to, może, i w szkółce nauczał, o której właśnie w tym czasie jest mowa, zaczęto też wtedy i szpital tam, pod opieką Bazylianów, budować, istniejący jeszcze XIX. stuleciu.

W kilka lat potem Bazylianie jakobsztadzcy zamanifestowali swoje uczucia lojalne względem panującego księcia kurlandzkiego i wydali odę po polsku i po łacinie, drukowaną w Mitawie u Staffenhagena w 1787. roku [3]) pod tytułem: „Chęć wierności i uniżoności naiaśnieiszemu Książęciu Imci kurlandzkiemu, Panu swoiemu Miłościwemu... na szczęśliwy powrót z cudzych kraiów...“ Mowa tu o Piotrze Bironie (raczej Birenie), który rządy sprawował od roku 1771—1795. Jednocześnie wydrukowane kazanie, wygłoszone dnia 4. marca 1787. roku u Bazylianów też po polsku (z dodaniem tłómaczenia łacińskiego) na urodziny Piotra II. (syna poprzedniego, który się urodził 1787, a + 1790. r. z 3. żony Karoliny Medem). Wszystko to wydano razem in 4°, kartek nieliczbowanych 12. i znajduje się w Muzeum kurlandzkiem w Mitawie.

Posiadamy też szczegóły o tej siedzibie zakonnej z wi-

---

[1]) Istoria bazilianskago Ordena, w Trudach Kijewskoj duchownoj Akademii, rok 1870. i następne.

[2]) Status dioecesis Curonensis et Livonensis sub anno 1780; manuskrypt.

[3]) Druki polskie w Mitawie wytłaczano nawet w XVII. stuleciu, o czem nawet się nie śniło bibliografom krakowskim.

zyty generalnej, dokonanej przez X. Goldbergera w 1790. r. [1]); wizytator tak powiada: po spaleniu się (w 1772 r.) kościoła, OO. Bazylianie wymurowali swojem staraniem, korzystając z jałmużny, nowy już poświęcony, lecz jeszcze nie konsekrowany i zewnątrz jeszcze nie otynkowany, a wewnątrz bez posadzki; kościół ten dość obszerny, o 5 ołtarzach pod wezwaniem Opieki M. B.; obok kościoła klasztor również murowany, w którym obszerne oratoryum, gdzie się też msza św. odprawia; klasztor ten, otoczony różnemi gospodarskiemi zabudowaniami, miał własne pola, łąki i domy przez dobrodziejów ofiarowane; liczba wiernych w tej parafii c. 600 dusz, z tych 400. r. l., a 200. l. g.; komunikanty dla obrządku łacińskiego otrzymywano z Iłłukszty; druga świątynia w tem mieście unicka pod tytułem św. Mikołaja, już stara, zrujnowana, otaczał ją cmentarz, do którego przytykał ogród i dom z pierwszej fundacyi; superyorował natenczas O. Martynian Olechnowicz.

Zaczynając od początku XIX. stulecia, personal zakonny jest nam dokładniej znany [2]).

I tak w lecie 1801. roku zastajemy tam na stanowisku parocha O. Joachima Tojewskiego, który, prawdopodobnie, już się tam znajdował przy końcu XVIII. wieku i długo bardzo w Jakobsztacie przebywał, sprawując rozmaite obowiązki (przeważnie jednak parochował); dopiero w jesieni roku 1821., albo umarł, albo ten opuścił klasztor. Kaznodzieją był pomiedzy rokiem 1801—1804 O. Efrem Dykowski, a O. Nikodem Ilnicki — superyorem 1801—1804. Na wizytę kanoniczną zjeżdżał do Jakobsztatu d. 6. lipca

---

[1]) Acta visitationis generalis dioec. Curonensis sub regimine D. Casimiri Kossakowski, Epis. Liv et Cur., per Fr. X Goldberger, canonicum cath liv, vicarium in spiritualibus etc. 1790—1792. in 8°, str. 215, manuskrypt, znajdujący się w Mitawie.

[2]) Na podstawie Liber mortuorum, od r. 1801—1837, gdzie jest zwykle wymieniono, kto chował; a także księgi przychodów od r. 1806—1837, z zaznaczeniem tam personalu zakonnego i wizyt kanonicznych; jedno i drugie w oryginale w ręku piszącego.

1803. roku O. Paschazy Leszyński, opat leszczyński, prowincyał litewski.

W r. 1804. chwilowo występuje w charakterze przełożonego O. Gedeon Piotuch, lecz prędko tam znika i O. Tojewski wymieniony jako „administrator Cerkwi", czasem starszy, potem znowu paroch; od r. 1804—1806. kaznodzieją jest O. Damian Dawlewicz. W r. 1804. zjeżdżał na wizytacyę O. Adryan Hołownia, opat brasławski, a w roku następnym znowu O. Paschazy Leszyński. O. Anatol Siedmiogrodzki jako wikary wspominany pomiędzy rokiem 1806. i 1812. W czerwcu 1807. roku spotykamy superyora O. Izajasza Romanowicza i piastuje on ten urząd do roku 1812. Przy nim wizytowali klasztor: O. Fortunat Gintowt, prowincyał litewski, w 1808. r., w roku następnym O. Bazyli Połoński, ex-sekretarz prowincyi litewskiej, natenczas rektor berezwecki i delegat, a roku 1810 znowu O. F. Gintowt.

Od początku roku 1812. na czele klasztoru stoi O. Merkury Hołownia, wybitna osobistość, Confessor, który niemało za wiarę wycierpiał; należy się mu dłuższe nieco wspomnienie. Przyszedł na świat około r. 1765., szlachcic, Polak; do zakonu wstąpił w 1783. r., w dziesięć lat potem, ukończywszy studya duchowne, w Torokanach i Ladach, wyświęcony na kapłana; następnie bywał wikarym w różnych klasztorach, a od roku 1812. superyorem w Jakobsztacie do roku 1823, w którym zastajemy go w klasztorze onufrejski, potem w brasławskim, a od r. 1825. przełożonym w Postawach; dalsze jego losy nie znane nam, aż znowu 1839. roku jest w klasztorze tadulińskim, ale się nie chce poddać, wydać na siebie cyrografu, więc Łużyński go degraduje; liczono mu wtedy lat 76; niema nigdzie śladu, aby się katolickiej zaparł wiary — cześć Jego pamięci! [1]). O. Romanowicz, ex-

[1]) Curriculum vitae Hołowni — też innych — na podstawie rękopiśmiennych notatek współczesnych o rozmaitych ojcach prowincyi litewskiej, a także pracy Szawelskiego: Poślednieje wozsojedinienie uniatow biełorusk. eparchii, Petersburg 1910.

superyor, jeszcze lat kilka zostawał w Jakobsztacie, a za czasów Hołowni przełożeństwa takich jeszcze tam znamy ojców: O. Jana Bielewicza, kaznodzieję i nauczyciela szkółki i O. Jeremiasza Osikowskiego. Wizytowali wtedy klasztor: O. Bazyli Pałoński, już prowincyał litewski, 1815. r. i we dwa lata później — tenże, już jako opat grodzieński i prowincyał; w r. 1819. O. Jozafat Żarski, naówczas sekretarz prowincyi, delegowany wizytator, a w roku 1821 — Cezary Kamieński, prowincyał litewski, którego też nazywają Kamińskim, ale niesłusznie, bo z własnoręcznego jego tam podpisu mamy już pewność, że się nazywa Kamieński.

Od 12. grudnia 1823. roku superyorował O. Filemon Kowzan, do końca prawie roku 1832., który się rodził w 1772. roku, pochodził z Litwy, do zakonu wstąpił w 1795 r., wyświęcony na kapłana 1797 r.; pomiędzy r. 1798—1811. bywał kuratem w rozmaitych klasztorach, a od 1818—1822. r. przełożonym w Postawach; o jego apostazyi nigdzie nie znaleźliśmy wzmianki, sądzić więc można, że wytrwał do końca. Przy nim w Jakobsztacie byli:

Kaznodziejami — O Hipacy Pawłowicz, O. Ignacy Niklaus, O. Bonifacy Trąbowicz; parochami — O. Damian Dawlewicz, a od 13. marca 1825. r. O. Aleksander Woynowski. Na wizytacyę znowu zjeżdżał w 1823. roku — O. Cezary Kamieński, uczony też profesor uniwersytetu wileńskiego. W r. 1829. dziekan semigalski, X. Piotr Dowgiałłowicz, odprawił wizytę kanoniczną. Od roku 1830. dnia 20. sierpnia należał już klasztor jakobsztadzki do prowincyi białoruskiej i arcybiskupstwa połockiego; w tym czasie przybyli tam na wizytę kanonicząą komisarze delegowani: O. Aleksy Korzeniowski i O. Sylwester Bukowski, wtedy superyor taduliński, z nim się tu jeszcze spotkamy, parafianie zaś obrządku łacińskiego, jak się zdaje, pozostali jeszcze w zależności od biskupstwa wileńskiego i wizytował ich d. 9. grudnia 1830. roku X. Klet Węckowicz, proboszcz onikszański; większość w tym czasie tych parafian należała do kościoła rzymskiego.

Dnia 7. grudnia 1832. powołano na superyora O. Aleksandra Woynowskiego. W następnym roku wizytacya została polecona O. Herakliuszowi Lebellowi, przełożonemu iłłuksztańskiemu, na początku 1839. roku od tego obowiązku usuniętemu za wierność Papieżowi i następnie internowanemu w Kursku, gdzie on należał do III. kategoryi zasłańców, których „nawrócić“ Siemaszko się nie spodziewał! [1]) Potem (1834) na kurata tam przysłano O. Konstantego Staszewskiego, a w rok później jako delegat wizytował klasztor O. Tadeusz Mniewski, superyor berezwecki. Lecz nadchodziły już czasy ciężkiego prześladowania za wiarę katolicką i ci wszyscy, co po jej stronie stali, wycierpieli straszne katusze, a jeśli, pomimo tego, zaprzeć się wiary nie chcieli, musieli iść na wygnanie dalekie i żyć pośród złowrogich żywiołów, w przykrych bardzo warunkach.

Na wiosnę 1837. roku [2]) Bazylianin Kalikst Zakaliński [3]) posłał denuncyacyę na Ojca Woynowskiego, przypisując mu różne karygodne postępki w obce rządu i rozmaite niebywałe przestępstwa; wytoczono natychmiast śledzwo i dochodzenie karne; okazały się ostatecznie następujące tylko

---

[1]) Pamiętniki Siemaszki; Szawelski l. c.

[2]) Opisanie archiwum Unickich Metropolitów, Petersburg 1907. t. II. Nr. 3440, 3443., 3466

[3]) Ten Zakaliński zawodowym był denuncyantem. Wyżej cytowany Szawelski, l. c. p. 240, powiada, że przy końcu r. 1835. posłał on gubernatorowi Chowańskiemu doniesienie, że Łużyński, przyjechawszy na wizytacyę klasztoru tadulińskiego, wcale tem się nie zajmował, lecz odwiedzał obywateli, ucztował z nimi, kazał dla ich rozweselenia swoim śpiewakom cerkiewnym różne świeckie śpiewać pieśni, że Łużyński tylko zewnętrznie łączy się z panującem w Rosyi wyznaniem etc. Takie wieści, powiada p. Szawelski, gorliwy apologeta Łużyńskiego, szkodziły kredytowi Łużyńskiego w wyższych sferach; ale ten żarliwy obrońca swego bohatera pominął zupełnie milczeniem, co już na kilka lat przed wydaniem jego pracy, Sbornik imperatorskaga rus. istoriczeskago Obszczestwa, t. 113., Petrs. 1902., p. 206. et sqq., w obszernym artykule o tym Krzewicielu dyzunii referuje, w drastyczny sposób, mówi o jego niemoralnem życiu, bakchanaliach i orgiach rozmaitych... Nie można posądzać, aby ów Sbornik tendencyjniej to uczynił.

„winy“ O. Woynowskiego: d. 2. listopada 1836. w dniu Zadusznym odprawił nabożeństwo za umarłych, przy ogromnem zebraniu ludzi; że używa przy mszy organów, dzwonienia, komży, że śpiewa pieśni polskie, że dopuścił, iż w klasztorze jest kaplica łacińska z ołtarzem, przy którym kapłani tego obrządku niekiedy msze odprawiają etc.. etc. O. Woynowski trzymający się wiernie dawnej tradycyi, którą ukochał i wyroków synodu zamojskiego, był przekonany, że ani Siemaszko, ani Łużyński nie mieli kanonicznego upoważnienia i prawa rugować owe zwyczaje, uświęcone tylu wiekami i tak pożyteczne, ale inaczej o tem sądziły wyższe sfery i Protasow, prokurator synodu, nalegał na to, aby natychmiast O. Woynowskiego usunąć, co się też stało; takiż sam los spotkał O. Staszewskiego, gorliwego również katolika.

Czasowym przełożonym w Jakobsztacie mianował Łużyński O. Michała Strzeleckiego [1]), który wiernie się trzymał rozkazów względem t. z. oczyszczania obrządku wschodniego od naleciałości rzekomo łacińskich, ale w gruncie szczerym był katolikiem i gdy nadchodziła katastrofa w 1839. r., on za innymi nie poszedł i wiary się nie zaparł, to mu utorowało drogę do Kurska i tam w 1842. roku zaliczony też do owej sławnej III. kategoryi, o której wspominaliśmy wyżej. O. Strzelecki ostatnim był katolickim superyorem jakobsztadzkim.

W r. 1838. internowano w tym klasztorze O. Sylwestra Bukowskiego, podobnego z niektórych względów do O. Strzeleckiego. O. Bukowski przyszedł na świat w obrządku łacińskim circa 1775 r., do zakonu wstąpił w 1791. r., wyświęcony na kapłana w 1800. r.; długo był superyorem tadulińskim, wytrwał do śmierci w wierze katolickiej.

A teraz kilka słów o uposażeniu tego klasztoru [2]). Sum funduszowych nie mieli tu OO. Bazylianie, a tylko po-

---

[1]) Opisanie archiw. l. c. Nr. 3444.; Szawelski l. c. p. 353. i dodatki 49.

[2]) Na podstawie wyżej wymienionych rękopiśmiennych materyałów.

siadłość ziemską, która z początku była większa, ale przed rokiem 1830. wynosiła trzy włoki [1]), tylko; w to wchodziły ogrody, łąki, place, jakaś jurydyka pod miastem, małe tam folwarczki i domy w samem mieście; nadto posiadali nieco kapitałów zebranych sobie, tych liczono około rubli srb. tysiąca (960); otóż procent 6. od tych kapitałów, czynsz z domów, ogrodów, placów, dochód pewien ze sprzedanych produktów, jura stolae z parafii stanowiły utrzymanie siedziby zakonnej; czasem to wystarczało na skromne wyżywienie i potrzeby zakonników, ale niekiedy bywały deficyty, pokrywane przy pomocy dobrodziejów, więc się jakoś żyło, chwaląc Boga.

I tak od paźdz. 1804. r. do kwietnia 1806. r. miano w kasie zł. pol. 3.348. gr. 6., a następnie do kwietnia 1807 r. — 2.088 zł. gr. 2. = 5.431. i groszy 8.; wszystko to przez ten czas rozeszło się na potrzeby klasztoru, a nawet zabrakło zł. 10. gr. 26. Następnie do r. 1808. dochodów było zł. 3.635. grosz. 10. i z tego wydano 3634. zł. 28½. Do roku 1809. wpłynęło do kasy zł. 2.146. gr. 24., a rozeszło się 2.145. zł. gr. 15. W r. 1810. miano zł 2.116. gr. 22., a wydatki wynosiły 2.122. zł. gr. 13. Do r. 1812. weszło do kasy 4.295., a wydano 4288. Do roku 1815. zebrano zł. 5.904., a potrzeby wynosiły tylko 5.195. zł., pozostało więc w kasie 709. zł. Lata następne od 1816 do 1823. roku były dość pomyślne i zawsze remanentem zostawało w kasie kilkaset złotych, a nawet i znacznie więcej. Od końca stycznia 1823. zaczęto liczyć na ruble i kopiejki.

Stan kasy w tym czasie 250. rb. kop. 44½. Potem lat kilka nie prowadzono wcale rachunków, a później nawet nie podawano, ile wychodziło na potrzeby klasztoru.

W r. 1827. dnia 3. czerwca zaznaczono przez te lata dochodu rs. 1.902. kop. 35½, z tego wydano 1.899. rs. kop. 20. Do r. 1830. d. 20. lipca było w kasie 1.093. rs. kop. 3.; z tego pokryto wszystkie rozchody i pozostało je-

---

[1]) Pamiętniki Siemaszki t. I. p. 462.

szcze rs. 29. kop. 48. Następnie podano, że w 1832. roku 7. grudnia było w kasie 410. r. 50. kop.; 1833. roku dnia 12. lipca — 172. r. kop. 17.; 1835. r. dnia 23. marca — 389 r.; 1837 r. d. 4. lipca — 928.; 1839. d. 14. czerwca — 580. r., a rozchodów 700. rubli, deficyt 120. r. superyor Strzelecki pokrył własnymi pieniędzmi.

Ciekawe są pozycye niektórych dochodów od roku 1837. R. 1837. d. 29. lipca za organy sprzedane do plebanii liwenhofskiej wzięto rs. 120.; d. 9. sierpn. za sześć lichtarzy mosiężnych i żelazko do pieczenia opłatków zapłacono rs. 3.; d. 26. sierp. X. Myszkiewicz zapłacił za dom przy kościele arendy za 2. miesiące 4. rs.; dnia 12. września na urządzenie ikonostasu O. Maksymilian Zwiaho zostawił rs. 75.; dnia 18. paźdz. za katafalik rs. 15.; d. 8. listp. za ławki, kratki i gradus rs. 6. kop. 50. R. 1839. d. 19. lutego za mszał łaciński stary kop. 75; d. 27. maja za obraz św. Antoniego rs. 3. [1]); d. 9. lipca za dwie dalmatyki i ornat X. Myszkiewicz zapłacił 1. r. 30. kop.; za stare lichtarze ołowiane, ważące ze sztyftami żelaznymi f. 30. wyzłocone r. 4. kop. 50.; za 4. ornaty w różnych kolorach rs. 2.; za baldachim stary r. 1. kop. 50. etc.

XX. Misyonarzy działalność w Jakobsztacie.

Dom Iłłuksztański Misyonarzy posiadał trzy rezydencye: w Dwecie, Bebrze i Suboczu, które wysyłały swoich członków do Jakobsztatu, aby tam u Bazylianów, dopóki można było, spełniać obrządki religijne dla wyznawców obrządku łacińskiego. Tak pomiędzy rokiem 1833—1835. spotykamy tam na tem stanowisku XX. Adama Podreza, Dawida Brazulewicza, Piotra Bogumiła, Franciszka Sonulewicza i innych, gorliwie pracujących w tej Winnicy Pańskiej; lecz z czasem nietylko, że nie pozwolono Bazylianom nieść tej pomocy du-

[1]) Wielkie było nabożeństwo do św. Antoniego okolicznych Łotyszów, którzy często zamawiali msze do tego Świętego.

chownej Łacinnikom, ale zabroniono w cerkwi bazyliańskiej odprawiać nabożeństwo łacińskie.

Biskup Kłągiewicz nie zapomniał o tej garstce swojej owczarni wileńskiej i postanowił pośpieszyć wiernym w Jakobsztacie z pomocą, obierając Misyonarza, Mateusza Myszkiewicza, kurata wtedy w Dwecie, i polecając mu duszpasterstwo w tem mieście.

Wybór ten ze wszech miar był bardzo szczęśliwy, bo był to kapłan gorliwy, pobożny, zaradny, czynny i oddany całem sercem i duszą swemu powołaniu — nie zawiódł on pokładanej w nim przez biskupa wiary. X. Myszkiewicz z Myszków, szlachcic, urodził się w Augustowskiem około roku 1781; uczył się w szkołach maryampolskich lat sześć i w 1805. r. wstąpił do Zgromadzenia Misyonarzy; śluby zakonne wykonał dnia 14. września 1807. roku, potem uczył się nauk duchownych lat 2. w Iłłukszcie, wyświęcony na kapłana w lipcu 1809. roku Następnie chlubnie spełniał rozmaite obowiązki w Zgromadzeniu w Krasławiu, Iłłukszcie, Bebrze, Suboczu i Dwecie, stąd naprzód dojeżdżał do Jakobsztatu, potem tam stale rezydował i z zapałem pracował w sprawie Domu Bożego dla wyznawców łacińskiego obrządku i jego staraniem i zapobiegliwością stanęła tam kaplica w 1837. roku, a we trzy lata potem Bogu oddał ducha w 1840. roku [1]).

Na początku 1835. roku, dnia 23. lutego, otrzymał on taką od biskupa Kłągiewicza odezwę [2]): „Gdy po wielu ukazach i rozporządzeniach zabroniono zostało ludowi rzymsko-katolickiego wyznania przyjmować Sakramenta od grecko-unickich kapłanów i uczęszczać na nabożeństwa do ich kościołów — chociaż w innych rzeczach zjednoczenie ich z nami zerwanem nie jest — stało się pomiędzy innemi, że znaczna liczba osób obrządku łacińskiego zamieszkałych w Jakobsztacie i w jego okolicach na kilka mil się rozciągających, została pozbawiona posługi duchownej, jaką dotychczas z obo-

---

[1]) XX. Misyonarze w Iłłukszcie, Gniezno 1909., też notatki własne.

[2]) Która w oryginale w ręku piszącego się znajduje.

wiązku fundacyi XX. Bazylianie jakobsztadzcy czynili rzymskim katolikom. Zaradzając nagłej potrzebie, póki dokąd należy, nie czynię przedstawienia i wzywam Imć pana, jako dobrze znającego i położenie i język łotewski, abyś podług znajomej *(czytać — znanej)* gorliwości, wziąwszy z sobą aparat i święte naczynia do najświętszy ofiary potrzebne, udał się bez odwłoki do Jakobszadu i tam, zasięgnąwszy rady przełożonego Kięży Bazylianów, oraz znaczniejszych mieszkańców, obrał u kogokolwiek z nich miejsce, założył ołtarz, poświęcił i Sakramenta św., administrował i, nastawiwszy u nich porządek, jaki będzie można, powrócił do Dwety, a potem na wielkanocny tydzień znowu do nich zjechał i Wielkanoc z nimi odprawił. I potem w pewne dni, na które z ludem się umówisz, zjeżdżać zechcesz sam, nie posyłając drugiego, aż póki nie zaprowadzisz porządku. Tam zaś daję Imć panu wszelką moc potrzebną, etiam pro casibus reservatis, aby nic nie utrudzało posługi. Razem starać się będziesz za rozpoznaniem miejscowych okoliczności, porobić projekta urządzenia stałego oratoryum i sposobu utrzymania tam miejscowego kapłana. Trudny obowiązek wkładam, ale miłość zbawienia ludzi wszystko ułatwić potrafi... Nagrody żadnej nie obiecuję, bo którąż lepszą dać mógłbym nad rozkosz pozyskania dusz ludzkich i nadtę, którą będzie sam wielki Bóg...“

X. Myszkiewicz natychmiast zjechał do Jakobsztatu i uczynił tam, co można było w powierzonej mu sprawie, referując o tem biskupowi. Na to otrzymał taką odpowiedź: „Raport z daty 14. września (1835. r.) jest dla mnie nowym dowodem gorliwości Imć pana względem usługi w duchownych potrzebach opuszczonego ludu naszego w Jakobsztacie i jego okolicach. Sprawiedliwe są żądania pana, ale jeszcze nie czas doprowadzać owych do skutku. Uczyniłem mocne przedstawienie do rzymsko-katolickiego duchownego Kolegium, które samo od siebie nie może rozporządzać w tej rzeczy bez postanowienia ministra wewnętrznych interesów, zawiadującego i duchownemi. Wiele jest zachodów, póki

rząd pozwoli zbudować kościół, lub kaplicę i osadzić tam Księży łacińskich, gdzie ich nie było. Prywatną zaś powagą, choćby kto i fundusz ofiarował, nowych kościołów lub kaplic zakładać mnogiemi ukazami zabroniono. Stąd Wpan widzisz, że z ustanowieniem porządku metryk, nabyciem placu, odebraniem sprzętów do naszego obrządku należących wstrzymać się wypada i od XX. Bazylianów odebrać nie można. W oczekiwaniu na wyższe rozporządzenie, należy się teraz ograniczyć samemi główniejszemi potrzebami, które są: 1° obrać jaki dom, gdzieby na przyjazd można było mieszkać i w nim poświęcić oratoryum, ubrać ołtarz, jak można i tam mszą św. odprawować, nauki miewać, spowiadać i inne Sakramenta sprawować; 2° metryki, jakie były pisane przez Bazylianów, prosić, aby te oddali, a chować one w całości, a jeśliby wydać nie zechcą, proś, aby u siebie w całości mieli, nie odsyłając do swego konsystorza; odtąd zaś metryki ochszczonych, zaślubionych i zmarłych zacząć pisać na nowo na białych arkuszach prostego papieru, a gdy sprawi Bóg, że pozwolą nam rozrządzić się w Jakobsztacie, te metryki będą mogły być przeniesione do ksiąg drukowanych i przez nasz konsystorz przypieczętowanych; 3° jeśli Bazylianom zwierzchność ich nie broni w razie przynajmniej naglejszej potrzeby chrzcić naszych, spowiadać i naszym obrządkiem komunikować, Wpan korzystaj z takiego pozwolenia, proś od siebie, aby w niebytności księdza łacińskiego czynili posługę; ale wątpię, żeby im to pozwolone było; dlatego, jak może być najczęściej, zjeżdżaj i opuszczonemu ludowi nieś pomoc zbawienną i temuż ludowi objaśnij trudności, jakie zaszły i że my mamy staranie o dozwolenie założenia tam kościoła lub tylko kaplicy; 4° sprzęty potrzebne zebrać będę mógł, a najpierwiej przyszlę dzwon niewielki, skoro będę miał sposobność przesłania do Dwety lub Iłłukszty; 5° na poświęcenie tak oratoryum, jako i różnych sprzętów, także i mogił (cmentarza) daję Wpanu przez niniejsze moc potrzebną, razem daję facultatem absolvendi a reservatis, póki Wpan rządzić będziesz parafią jakobszta-

dzką. O powodzeniach swoich lub przeciwnościach i trudnościach napotykanych w zarządzie tej parafii dawać mnie częste doniesienia [1])“. — Wilno dnia 29. września 1835. roku.

X. Myszkiewicz w dalszym ciągu pracował gorliwie, a wytrwale na tem stanowisku, znowu chwalony przez biskupa, jak świadczy list następny, rzucający jaskrawe światło na ówczesne smutne już stosunki kościelne, więc go dosłownie podajemy.

„Wilno 15. marca 1836. roku. Roku przeszłego w poście wielkim i później założyłeś dobry fudament nabożeństwa w parafii jakobsztadzkiej, opuszczonej przez Bazylianów. Po objaśnionych mnie przez Wpana danych, odniosłem się do rzymsko-katolickiego duchow. Kolegium o pozwolenie założenia kościoła lub kaplicy i o pomoc do uskutecznienia, ale dotąd niema skutku i nie wiadomo, czy będzie pozwolone... aby podjęta praca nie zaginęła, a nadewszystko, aby bez św. Sakramentów i bez instrukcyi duchownej nie ginęły dusze, zalecam, abyś znowu tam się udał i na Wielkanocne święta posilał ich (je) pokarmem św. Sakramentów i słowa Bożego. Jeśli Wp. nie potrafisz skłonić Bazylianów do pozwolenia kaplicy, wewnątrz klasztoru, załóż nabożeństwo w którymkolwiek domu najętym, albo choć w jednej stancyi domu, gdzieby ludzie i spowiadać się i mszy słuchać mogli; albo jeśli gdzie we wsi w katolickim domu znalazło się miejsce, daję Wp. pozwolenie przybrania ołtarza, a ponieważ nie wiem, co tam można, a czego nie można mieć, dla tej samej przyczyny nie ograniczam onego... a jeśli Wp. będziesz potrzebował na to jakiego wydatku, ja z ubóstwa mego udzielam kilkadziesiąt rubli srebrem...“.

Na początku roku 1837. nadeszła taka do X. Myszkiewicza biskupia odezwa: „Bardzo jest dla mnie miła, godna wszelkiego naśladowania i budująca gorliwość Wp. w usłużeniu katolikom jakobsztadzkim; nie ustawaj w swej niezmor-

---

[1]) Również z oryginału, jak i inne tu przytoczone w naszych zbiorach się znajdujące.

dowanej pracy o dobro i zbawienie dusz ich, a ja będę wspierał i troskliwie dopomagał we wszystkiem. Gdy kościół obszerny antolepski [1]) z woli monarszej ma być użyty na potrzeby skarbu, a nabożeństwo urządzi się gdzieindziej, chcę przeto z niego udzielić wszystkiego, co tylko można, dla oratoryum jakobsztadzkiego i dla tego zaraz po otrzymaniu niniejszego chciej się udać do X. Hryszkiewicza, proboszcza dusiackiego, pod którego zawiadywaniem zostaje własność kościoła poklasztornego antolepskiego i z nim razem wybierz dla oratoryum jakobsztadzkiego wszystko, czego tylko potrzebujesz [2]), czy to z obrazów, aparatów z dobraniem garniturów, czy też cały ołtarz, których tam jest kilka, czy z naczyń św. i innych sprzętów, a nawet jeden lub dwa dzwony, tak jednak aby nie przyczynić niedostatku temu kościołowi, do którego się przeniesie nabożeństwo z Antolepti nie ogołocić całkiem w nim nabożeństwa. X. Hryszkiewicz za okazaniem tego teraźniejszego kościoła poklasztornego, dopóki jeszcze trwa pisma powinien będzie niezwłocznie wydać to wszystko, co Wp. wybierzesz i pod swój rewers przyjmiesz...".

Z dalszej korespondencyi biskupa z X. Myszkiewiczem, przy końcu sierpnia 1837. roku, dowiadujemy się, że „kościół antolepski w tych dniach zupełnie się wypróżnionym i oddanym będzie w wiedzę skarbową" i że sprawa urządzenia oratoryum w Jakobsztacie jeszcze zupełnie wtedy ukończoną nie była, ale miano nadzieję, że wkrótce pomyślnie się załatwi, co się też i stało.

---

[1]) Antolepty, teraz w gubrn. kowieńskiej w pow. jezioroskim (nowo aleksandrowskim); z fundacyi Jana Strutyńskiego, kasztelana inflanckiego, byli tu OO. Karmelici Bosi od roku 1734—1832, mieli parafię, utrzymywali szkółkę parafialną, niegdyś w dekanacie kupiskim, razem z Dusiatami. Otóż z tego widać, ze po skasowaniu klasztoru, kościół jeszcze lat parę istniał; czy odprawiało się tam ciągle nabożeństwo, tego nie można z pewnością powiedzieć; to tylko, zdaje się, nie ulega zaprzeczeniu, że w połowie 1837. już go nie było.

[2]) Z tego sądzić można, że w tym czasie już tam osobne urządzano oratoryum, albo miano nadzieję, że to prędko do skutku dojdzie.

Dnia 12. maja 1838. roku pisał biskup.

„Napełniłeś mię pociechą z gorliwości swojej w poświęceniu się posłudze parafii, przedtem zostawionej bez pasterza. Będę czynił starania o przeznaczenie annuaty dla kapłana; nie wiem, czy skutek pożądany uwieńczy żądania nasze, tymczasem ofiaruję z mojej kasy i poszlę rychło w pomoc Wpanu rubli srebrnych sto i póki nie będzie wyznaczona annuata, co rok po sto przysyłać przyrzekam, póki mi Pan Bóg życia pozwoli. Także za pierwszą okazyą przyślę do oratoryum piękny obraz N. M. P. z szatą posrebrzaną; ten jest kopią obrazu z kościoła wileńskiego św. Jana, nazwania także N M. P. ruskiej, dlatego że nie na prawej, ale na lewej ręce trzyma Pana Jezusa; ten obraz jest znacznej wielkości. Chcę posłać w pace drewnianej do Iłłukszty, skąd Wp. łatwo do Jakobsztadu sprowadzisz. Dzwonów i innych sprzętów z kościołów skasowanych już teraz dostać nie można; gdzie raz oddane są, tam i zostaną. Że do oratoryum dali Wpanu aparaty nikczemne, z tego niekontent jestem, ale teraz odmienić nie podobna. Co Wpan mówisz w raporcie (z dnia 23. kwietnia 1838. roku), że ludzie różnego wyznania przychodzili na nabożeństwo, w tej rzeczy zalecam ostrożność, aby nie uczyniono zarzutu, iż oratoryum jakobsztadzkie pociąga do siebie lud obcych wyznań i z tej przyczyny skasują oratoryum“.

Oratoryum jednak tego rząd nie skasował, a potem tam powstała formalna parafia; o jej istnieniu już pewne mamy wiadomości z roku 1842.

Po śmierci X. Myszkiewicza proboszczował tam X. Justyn Bohdanowicz, też ze Zgromadzenia Misyonarzy, również zacny i zapobiegliwy kapłan. Przyszedł on na świat około roku 1810., w 1829. wstąpił do Zgromadzenia, święcenia kapłańskie otrzymał w 1835. roku, a następnie był w Dwecie, a potem w Jakobsztacie, czy bezpośrednio po X. Myszkiewiczu, tego na pewno nie wiemy, zdaje się, że nie; ale uwiecznił swój pobyt w tem mieście doniosłym czynem — jego staraniem stanął tam murowany kościół w 1856. roku pod

wezwaniem świętego Jerzego. Daty jego śmierci — nie znamy; w Directorium zmudzkiem na rok 1862. wydanem jeszcze go w Jakobsztacie zastajemy, ale w dziesięć lat potem już go niema [1]).

W parafii jakobsztackiej, powołanej do życia przez XX. Misyonarzy, w 1862. r. liczono katolików 2.069., w dziesięć lat potem — 2.594.; później zaczyna spadać liczba ludności katolickiej; i tak w 1878. roku już tylko wiernych 1.326., w 1880—1715.; następnie jeszcze mniej; w roku 1888. tylko 1434; a w roku 1912. podano prawie też samo — 1.437. [2]).

Smora.

---

[1]) Wiadomość o poświęceniu tego kościoła w Pamiętniku Relg. Moral. Serya II. tom I., Warszawa 1858, p. 673.

[2]) Na podstawie dyrektoryów tej dyecezyi, chociaż, jak wiadomo, statystyczne tam daty bardzo są często niedokładne; w obecnych np. czasach, prawie z pewnością, twierdzić może, że tam więcej katolików.

KRONIKA.

Z PROWINCYJ POLSKICH.

Kraków — Stradom. — Tylokrotnie szkicowany na tem miejscu obraz naszej pracy niewiele się zmienił w roku ubiegłym. Poza pracą ściśle naukową, stale wzrastającą w miarę przybywania nowych kursów młodzieży duchownej, obracaliśmy się w ramach lat przeszłych. Spieszyliśmy na wezwanie z pomocą na odpusty swoich i obcych po kilkakroć. Pomagaliśmy, jak dawniej, w słuchaniu spowiedzi po zakładach i szkołach w Krakowie. W kościele u nas i w zakładach, powierzonych naszej pieczy, praca zapełnia nam cały czas wolny poza szkołą. Budując się gorliwością Konfratrów, oddanych pracy wyłącznie duszpasterskiej na misyach, rekolekcyach, przy parafiach, — z radością braliśmy chętny udział w tej pracy przy nadarzonej sposobności. Seryj rekolekcyjnych odprawiliśmy w przeszłym roku ogółem 23. Nadto Ks. Witaszek przez cały szereg tygodni wyjeżdżał na misye, a raz przez miesiąc towarzyszył Najprz. Ks. Biskupowi Nowakowi w wizytacyi kanonicznej. Na wychodźtwie apostołowali w Niemczech XX. Karol Michalski i Witaszek. Wielkiej a chętnej pomocy doznawaliśmy w naszych trudach, ze strony młodszych braci naszych, którzy otrzymali święcenia kapłańskie w niedzielę, 22 czerwca z. r., u nas na Stradomiu z rąk J. E. Najprzew. Księcia Biskupa Sapiehy. Są to księża Wendelin Świerczek, Paweł Dembiński, Augustyn Sinka, Feliks Ździebło, Paweł Dylla, Augustyn Binna, Wiktor Skrabel, Józef Swałtek, Sylwester Graczyk, Walenty Gertner. Dzień święceń kapłańskich, to zawsze bardzo podniosła uroczystość nietylko dla neopresbyterów, ale dla całego Zgromadzenia. Radował się Pan Jezus, kiedy Sobie zgromadził dwunastu,

a Ewangelia skrzętnie zapisuje ich imiona. Jakżebyśmy się my nie mieli cieszyć, kiedy nam żniwo tak dojrzało, a nasze łany sięgają tak daleko. To też dzień 22 czerwca mijał w domu wesoło, a w radości naszej brali żywy udział Konfratrzy z drugich domów krakowskich. Pomagali nam w tem młodzi kończący rok szkolny, siedmiu promienni po zdaniu matury, reszta szczęśliwi po przebytych egzaminach rocznych, a wszyscy spragnieni spoczynku wakacyjnego. Potem neopresbyterzy pojechali z prymicyami w strony rodzinne, a klerycy na 2 miesiące do Krzeszowic. Dnia 19 lipca zebraliśmy się w znacznej części na Stradomiu, na odpust św. naszego Ojca. Przybył do nas łaskawie z cichą mszą św. Najprzew. Ks. Biskup Nowak. Sumę odprawił Przew. Ks. Wizytator, a nieszpory odjeżdżający w tym dniu do Ameryki północnej Ks. Jan Cepurski. Pożegnaliśmy go późnym wieczorem na dworcu kolejowym, a klerycy odprowadzili go do Krzeszowic. Pod koniec wakacyj żegnaliśmy znowu w Krzeszowicach jednego z młodych Księży, Ks. Augustyna Binnę, który z równie młodym braciszkiem Wojciechem Ropskim podążał za Ks. Cepurskim. Dnia 26 sierpnia wsiedli na okręt w Bremie, wesoło dla Pana Boga opuszczając wszystko. 23 sierpnia zaroiło się na nowo w domu. Zjechali się wszyscy, by w niedzielę 24-go zasiąść na rekolekcye wspólne. Do Seminaryum przybyło na 1-szy rok 13 kandydatów. Łącznie z 2-gim rokiem jest w Seminaryum kleryków 23, a braci dziewięciu. Kleryków po ślubach św. jest obecnie 40. Wszystkich konfratrów w domu jest nas przeszło setka. Po rekolekcyach domowych zjechał do nas ze Lwowa Ks. Stefan Król, przeznaczony na nowy posterunek w Kolegium św. Jana w Erie. Przed udaniem się w podróż zamorską odprawił sobie u nas rekolekcye, a rzewnie pożegnamy przez kler, w większej części dawnych wychowanków swoich z Małego Seminaryum, pojechał z Ks. Michałem Sadowskim, budując nas wszystkich ochotnem poświeceniem się na tę trudną, a tak nam drogą pracę. W uroczystość Wszystkich Świętych, kiedy w Olczy odbywało się poświęcenie prowizorycznej kaplicy ku czci Nie-

pokalanej od Cudownego Medalika, u nas dziesięciu młodych uroczyście składało śluby św. Jedenasty złożył je 7 listopada, w dniu bł. Jana, w otoczeniu dziesięciu młodszych współbraci, którzy składali bonum propositum. Dnia 1 grudnia obchodziliśmy odłożony na ten dzień złoty jubileusz kapłański Czcig. Ks. Seniora Melchiora Wdzięcznego. Lubi się on podpisywać imieniem Niewdzięcznego, ale wszystko w tym dniu podniosłym tchnęło wdzięcznością dla Zacnego, a przez wszystkich kochanego Starca, który żarliwą pobożnością i tak gorącem przywiązaniem do Zgromadzenia buduje nas zawsze. Wieczorem o godz. 5 zebrali się u nas w sali Konfratrzy ze wszystkich domów krakowskich, a z prowincyi Ks. Ks. Superyorzy Ks. Buchhorn z Milatyna i Ks. Grabowski ż Kaczyki, a Przew. Ks. Wizytator złożył imieniem całej prowincyi hołd i życzenia Czcig. Ks. Jubilatowi. Potem klerycy uczcili Jubilata pięknym wieczorkiem muzykalno-wokalnym w gustownie przybranej sali. W uroczystość św. Tomasza, dnia 21 grudnia udzielił Najprzew. Ks. Biskup Nowak ośmiu naszym teologom święceń mniejszych. Poza zmianami kilku Braci wypada zaznaczyć, że Ks. Stanisław Kalla przeznaczony został na profesora w Małem Seminaryum na Nowej Wsi, a Ks. Mateusz Marzotko przeniósł się na Kleparz. Ks. Dyrektor Sióstr Wiktor Bieniasz zamieszkał u nas na Stradomiu. Ks. Czesław Lewandowski, zamianowany Ojcem duchownym w Seminaryum dyecezyalnem, liczy się także do nas, a tak się znowu nawiązała nić z tradycyą dawnego Seminaryum u nas. Opuścił nas Ks. Antoni Weiss, obejmując urząd Superyora na Kleparzu.

Z dnia 6 na 7 grudnia odbyła się w naszym kościele nocna adoracya panów. O godz. 9 wieczorem Przew. Ks. Wizytator wystawił Przenajśw. Sakrament, wśród śpiewu kleryków. Ks. Wizytator przemówił od ołtarza o znaczeniu tej adoracyi, poczem kler odśpiewał *Adoro te*, a następnie kilka hymnów na głosy. Co godzina odprawiali księża głośno z ambony rozmyślanie i spowiadali do późna w noc. Rano o godzinie 5 przybył Najprz. X. Biskup Nowak do przepełnionego wiernym ludem kościoła i odprawił mszę św. ze wspólną Ko-

munią św. Hymn *Te Deum* zakończył to rzewne nabożeństwo, które na zawsze zostanie nam w pamięci.

Wiele przeżyliśmy obaw o zdrowie Przew. Ks. Wizytatora. Opatrzność Boża pocieszyła nas, wracając mu lepsze zdrowie, za co Jej nie przestajemy dziękować, prosząc o zupełny powrót do sił dawnych, dla dobra kochanej prowincyi.

Kraków — Kleparz. — Zajęcia Księży domu kleparskiego są wielorakie. Koncentrują się zaś głównie do pięciu, które są zaznaczone w katalogu domów i osób naszego Zgromadzenia, t. j. misye, rekolekcye, praca nad tymi, którzy pielgrzymują do naszego kościoła, szpitale i zakłady.

Co się odnosi do misyi odprawiono ich w zeszłym roku 1913 kilkanaście, siłami domu kleparskiego lub przy pomocy kapłanów z innych domów.

W dyecezyi krakowskiej pracowali nasi kapłani w 5 miejscowościach: w Zabierzowie (29—30/I), w Spytkowicach (8—12/II), w Kalwaryi (3—7/III), w Rabie wyżnej (23—30/XI), gdzie obok Ks. Dudka i Ks. Koniecznego Jakóba pracował Ks. Stanisław Tyczkowski, superyor z Tarnowa, i w Witanowicach, gdzie się odbyło tryduum misyjne od 5—8/12.

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem odbyły się misye lub rekolekcye misyjne w Kotłowie (17—23/II), w Gnieźnie, gdzie dla mężczyzn dawał rekolekcye Ks. Szymbor, od 10—15 lutego. W Poznaniu przy kościele św. Marcina odbyły się walne misye od 2—16 marca, gdzie pracowali Ks. Szymbor, Ks. Bieniasz i Ks. Steinsdorfer. Druga walna misya była w Poznaniu w parafii św. Łazarza od 9--23/II, gdzie pracowali 4 konfratrzy ze 4 domów: Ks. superyor Buchhorn z Milatyna, Ks. Szymbor z Kleparza, Ks. Witaszek ze Stradomia i Ks. Bibrzycki z Kaczyki — w czasie tej misyi rozdano 23,000 Komunii św. Prócz tego dawał Ks. Szymbor rekolekcye dla robotników przy kościele farnym w Poznaniu od 2—9/II, dokąd wczesnym rankiem i późnym wieczorem zgromadzało się kilka tysięcy robotników, ku niemałemu zdziwieniu urzędników pruskich. Nadto odbyła się misya w Rogoźnie (25/V—1/VI).

W Prusach Zachodnich odbyły się misye w Ligniowy (1/VI—8/VI), w Chełmży (3—7/VIII) i w Szynwałdzie (29/XI—8/XII).

W archidyecezyi lwowskiej odbył dwie erkursye misyjne Ks Piotr Brukwicki.

Do prac tego rodzaju trzeba zaliczyć ekskursye apostolskie Ks. W. Szymbora do Danii, gdzie w różnych miejscowościach pracował nad Polakami, tamże rozrzuconymi od (8/VII—10/IX).

Podobne ekskursye urządził Ks. Hieronim Gintrowski, kapelan Św. Łazarza w Krakowie, który pracował nad Polakami w rozległej dyecezyi Hildesheim od 20/VIII—24/IX), poświęcając na ten cel zbożny swój czas wakacyjny.

Drugiem głównem polem pracy kapłanów domu kleparskiego są rekolekcye ludowe, w naszym kościele na Kleparzu, dokąd gromadzą się i ściągają ludzie z wszystkich części rozszarpanej Polski, z Królestwa, ze Ślązka pruskiego i z Galicyi. W zeszłym roku odbyło się 8 seryj tychże rekolekcyj ludowych na początku roku, pod jesień i zimową porą. Liczba uczestników dochodziła do 4.000. Sami ich wyspowiadaliśmy przy pomocy Księży konfratrów z dwóch domów krakowskich. Kierował temi rekolekcyami Ks. Stanisław Dudek. Ciche, ale wielkie są owoce tych rekolekcyj.

Miłe są zapewne rekolekcye św. Wincentemu, które od pewnego czasu na prośbę panów z konferencyj dajemy ubogim, zostającym pod ich opieką, stale po czwartej niedzieli postu. Nauki głosi im się o 6-tej wieczorem, w sobotę wspólna Komunia św. — następnie śniadanie dla rekolektantów w naszym domu i kosztem Zgromadzenia, a później dostają jeszcze święcone.

Pożyteczne i potrzebne są rekolekcye wielkanocne, które w tym roku urządziliśmy dla innych osób z miasta i ogłosili plakatami. Rekolekcye te nadspodziewanie się udały Wieczorami zwłaszcza był nasz rozszerzony kościółek przepełniony, brało w nich udział dużo mężczyzn. Trwały 3 dni, od 12—16 marca. Spowiadaliśmy ich wieczorami, zwłaszcza trzeciego dnia do późna w nocy. Dawał rekole-

kcye Ks. St. Dudek. Podobne rekolekcye odbyły się w kościele Księży Misyonarzy na Nowej Wsi Narodowej, gdzie brało udział przeszło 400 osób kobiet od 9—12/III. Przewodniczył im Ks. St. Dudek. Podobnież były obfite w owoce rekolekcye dla służby męskiej u św. Łazarza (od 26/II—2/III). Brało w nich udział 75 osób. Była to nowość, bo dotychczas z rekolekcyj korzystała tylko służba żeńska. Mężczyźni brali pilnie udział w tych ćwiczeniach duchownych i cnotliwie się spowiadali, wieczorami przeważnie, w czem księża i z innych domów pomagali. Dawał rekolekcye Ks St. Dudek.

Do tego rodzaju pożytecznych rekolekcyj trzeba zaliczyć i te, które się odbyły w Potulicach, w dobrach hr. A. Potulickiej, od 16—20 marca, z których korzystali oficyaliści i ludność okoliczna. Dawał je Ks. Szymbor, tudzież rekolekcye, które tenże dawał w Chełmnie, dla Stowarzyszenia Rożańca św., od 25—29 maja.

W ogólności kapłani domu kleparskiego dali w zeszłym roku prócz wymienionych rekolekcyj jeszcze 33 innych seryj rekolekcyj, z których 2 były dla kapłanów świeckich w Kaczyce i w Kalwaryi, 4 dla Sióstr Miłosierdzia w Prusach, 7 dla zakonnic w Galicyi, 3 w gimnazyach męskich i żeńskich, reszta 17 dla różnych kategoryi osób jak: dla pań Miłosierdzia w Grodzisku i Pelplinie, dla Dzieci Maryi, rozrzuconych po licznych domach SS. Miłosierdzia w Galicyi i Prusach, dla zakładów i szkół, n. p. dla zakładu hr. Zamoyskiej w Zakopanem, dla terminatorów w Krakowie.

Osobna wzmianka należy się pracy w naszym kościele na Kleparzu, gdzie prócz wymienionych rekolekcyj gromadzą się pielgrzymi z różnych stron, aby doznać łask i pomocy przed cudowną statuą N. Maryi Panny Lurdeńskiej. Liczba Komunii św. rozdanych w naszym kościele na Kleparzu wynosiła w zeszłym roku kościelnym 92.100.

Obok tego pracują nasi księża w 3 szpitalach: powszechnym św. Łazarza, w szpitalu św. Ludwika i w zakładzie Helclów.

Wreszcie pracujemy nad młodzieżą w 2 zakładach

Ks. Siemaszki na ul. Długiej i w Czernie, w szkołach kilku (Strażyńskiej, Kaplińskiej, w szkole przemysłowej, w szkole św. Stanisława), nad sodalisami z wyższych klas gimnazyalnych, Dziećmi Maryi, przy domach SS. Miłosierdzia.

Kraków — Nowa Wieś. — Rok ubiegły szczęśliwie się zapisał w kronikach naszego Domu. Udało nam się bowiem odnowić kościół, ten kościół, przy którym tyle generacyj misyonarskich się wychowało, a którego wspomnienie mimo to dreszcze wywoływało, dla wilgoci i zimna przejmującego i smutnej jego szaty. Dwadzieścia przeszło lat stoi, a teraz dopiero rzeczoznawcy orzekli, że okres osadzania się (który sprawił, że sklepienie w wielu miejscach się zarysowało) już przeszedł, że więc czas już jest, aby się zabrać do jego odnowienia. Zabrał się więc Dom nasz do pracy, ufając pomocy Bożej i ludzkiej. Kościół przybrał szatę białą, odpowiednią Najświętszej Pannie. Ołtarze i wszystkie sprzęty kościelne odnowiono, a zaprowadzone kaloryfery pozwalają przypuszczać, że znacznie przyspieszą osuszenie kościoła. Roboty rozpoczęto 15 maja, a zakończono uroczystem nabożeństwem dziękczynnem dnia 22 października.

Główne dzieło naszego Domu — Małe Seminaryum — wydaje rezultat pomyślny. Dzięki Bogu kandydatów zawsze jest dosyć. Wychowanków mieliśmy 84, ze wszystkich stron Polski.

Zakład rozpoczął drukować coroczne Sprawozdanie, więc tam Czytelnicy Roczników mogą, jeżeli zechcą, zasięgnąć wyczerpujących wiadomości o Małem Seminaryum.

Nową ofiarę zrobił Dom nasz w roku przeszłym w osobie Ks. Michała Sadowskiego, który wyjechał we wrześniu do Ameryki północnej, do Kolegium w Erie. W jego miejsce przybył do nas ze Stradomia, X. Stanisław Kalla.

Praca w kościele pochłania nam dużo czasu i sił, ale mamy tę pociechę, że kościół na nabożeństwach jest nieraz przepełniony, że wielu uczęszcza do św. Sakramentów. W Wielkim Poście po raz pierwszy urządziliśmy rekolekcye osobno dla mężczyzn i osobno dla kobiet, które licznych

zgromadziły słuchaczy. Udzielali ich X. Stanisław Dudek i X. Konstanty Witaszek.

W roku 1913 rozdano w naszym kościele 25.867 Komunii św.

Dnia 21 listopada był u nas Najprzewielebniejszy Książę Biskup Sapieha i zadecydował utworzenie osobnej parafii. Określono już jej granice, które stanowią: ulica Racławicka, Nowowiejska i Urzędnicza. Obejmować więc będzie parafia cały Łobzów, część Nowej Wsi i Czarnej Wsi, Kawiory, i biegnie aż za plac wyścigowy i ku Bronowicom. Sprawa przechodzi obecnie odpowiednie urzędy we Lwowie i we Wiedniu.

Oprócz tych prac w kościele i w Zakładzie sprawujemy jeszcze opiekę duchowną w trzech Domach SS. Miłosierdzia i nad ich stowarzyszeniami.

Spieszymy z chętną pomocą konfratrom w innych Domach, a w czasie wakacyjnym bierzemy nawet udział w misyach dla wychodźców polskich w Niemczech.

Odporyszów. — Ks. Superyor Krzyszkowski pisze do nas pod datą 28 lutego b. r. — Przy pomocy Bożej i błogosławieństwie Matki Najśw. prace nasze rozwijają się zwolna, ale pomyślnie. Założona tu Sodalicya Maryańska dla młodzieży męskiej pod wezwaniem św. Stanisława Kostki objawia coraz większą żywotność. Oprócz czytanek niedzielnych w czasie zebrań niedzielnych i zabaw na wolnem powietrzu — zawsze pod okiem Ks. R. Steinsdorfera, który jest tejże Sodalicyi Dyrektorem i duszą, — zawiązał się wśród członków chór na cztery głosy męskie, który w czasie manifestacyi patryotycznych i uroczystości kościelnych produkuje się z wielkiem powodzeniem. Członkowie tegoż towarzystwa urządzili własnemi siłami „Obchód pamiątkowy rocznicy powstania styczniowego“, z odczytem, deklamacyami i śpiewami na głosy, ustroiwszy w tym celu masztami, chorągwiami i emblematami patryotycznymi, wspaniałą trybunę pod gołem niebem, bo sali odpowiedniej na ten cel niema w Odporyszowie.

W jesieni 1913 r. członkowie tej Sodalicyi odegrali utwór sceniczny p. t. „Dziesiąty Pawilon“, z dołączonem monologiem „Niedziela“. Że zaś niema odpowiedniego lokalu na podobne przedstawienie, więc scenę urządzili na boisku stodoły, a widzowie stali na dworze. Ubiory, dekoracye, charakteryzacya wszystko było wykonane jak najsumienniej. — W zimie w początkach lutego 1914 r. odegrali znów Sodalisi „Błażka opętanego“ Anczyca i „Wilię“, a to w chłopskiej chacie. Powtórzono tę sztukę jeszcze raz w Odporyszowie, a trzeci raz *excurrendo* w Laskówce. Jak tego rodzaju Stowarzyszenie dodatni wpływ wywiera na młodzież, łatwo zrozumie każdy, kto choć krótki czas zajęty był duszpasterstwem na wsi. Sodalisi chodzą co kwartał i częściej do spowiedzi, nie mają czasu na wybryki nocne i muszą zachowywać się wzorowo, bo inaczej wykluczają ich zaraz koledzy z Towarzystwa. Prowadzenie jednak takiego stowarzyszenia wymaga wiele poświęcenia, trudu i taktu ze strony księdza. Świeżo założyliśmy w Odporyszowie „Spółkę oszczędności i pożyczek“ systemu Raiffeisena pod patronatem Wydziału Krajowego, celem wyrwania ludności miejscowej z zależności pieniężnej od żywiołów wrogich. Jestto także praca mozolna ze względu na absolutny brak wyrobionych piśmiennie i rachunkowo ludzi.

Wiele pracy wkładamy w naukę katechizmu po szkołach, których mamy pięć, więc cztery półdnia zabierają całkiem szkoły zamiejscowe, a w samem Odporyszowie jest 4 razy w tygodniu nauka religii, oprócz niedzielnego katechizmu dla dzieci i kazania katechetycznego na sumie.

Do spowiedzi garnie się lud z całej okolicy, a parafianie rozruszani są dobrze pod tym względem. Świadczy o tem cyfra rozdanych w 1913 r. Komunii św., wynosząca 24.723. Chorych zaopatrzyliśmy w ubiegłym roku 89. Nadto co wtorek udaje się Ks. Steinsdorfer z ekskursyą do Laskówki, gdzie w kapliczce WW. Sióstr Służebniczek ma mszę św. i słucha spowiedzi. — Przeciętnie przystępuje tam do Komunii św. co wtorek 60 ludzi.

Oprócz tej pracy w domu pomagaliśmy i poza domem, jużto sąsiadom naszym proboszczom, już też i konfratrom na odleglejszych terenach pracy. Ks. Steinsdorfer brał udział w pracy na misyach w Poznańskiem i udzielał rekolekcyj Dzieciom Maryi w Maryampolu i w Moszczanach, a drugi konfrater z domu naszego udzielał rekolekcyj Siostrom Miłosierdzia.

W kierunku materyalnego poprawienia domu i kościoła tutejszego był w przeszłym roku zastój z powodu braku pieniędzy. Ale i tak odnowiono mur kościelny; na kaplicy Grobu Matki Boskiej postawiono nową sygnaturkę, bo stara się koniecznie przewrócić chciała; sprawiono trochę nowych aparatów kościelnych i poczyniono tym podobne mniejsze poprawki i ulepszenia, które mniej pieniędzy, a więcej czasu i doglądania wymagają.

Mieliśmy i przykry wypadek 15 maja zeszłego roku, który mógł był wielkiej nabawić nas biedy. Mianowicie po nabożeństwie majowem tego dnia wieczorem od węgli wypadłych z turybularza zatlił się w zakrystyi ogień, który o 12-tej w nocy już płomieniem objął szufladki w szafce stojącej na komodzie ze świecami. Ogień dostrzeżono i ugaszono nie całą konewką wody. Straty były nieznaczne, ale faktycznie byłby ten pożar dotkliwie dał się nam we znaki, gdyby były spaliły się ornaty i inne przybory kościelne. Że tak się nie stało, przypisać to trzeba opiece Najśw. Panny, której w każdym kierunku z nieograniczoną ufnością się polecamy.

Lwów. — Małe Seminaryum arcybiskupie. — *List Ks. Rektora Gaworzewskiego, z dnia 25 lutego b. r.*

Na rok 1913 przesyłam parę uwag dotyczących pracy konfratrów w domu przy Małem Seminaryum arcybiskupiem we Lwowie.

Dom nasz to jedyny obecnie posterunek, na którym Zgromadzenie w naszej prowincyi spełnia trzeci swój cel, zakreślony w I. rozdziale Reguł wspólnych, a wskazujący, że między innymi celem Zgromadzenia jest: być pomocą

duchowieństwu świeckiemu do nabycia nauk i cnót ich stanowi potrzebnych. Cel ten spełniamy wprawdzie nie bezpośrednio, ale przez to nie mniej mamy ważne zadanie, przygotowujemy bowiem młodzież, która ma zasilić szeregi tych, których hasłem życia i działania ma być: *Dominus pars haereditatis meae.*

Troską też naszą było w kierowaniu młodzieżą, by nabywała potrzebnej nauki i zdobywała podstawy życia duchownego.

Probierzem i miarą postępu studentów w nauce jest klasyfikacya, z której wynika, że na 59 uczniów, klasyfikowanych przy końcu roku szkolnego, przeszło do następnej klasy, względnie zdało egzamin dojrzałości, 32 uczniów, a zatem przeszło połowa, z odznaczeniem, reszta zaś miała świadectwo I. stopnia. Istotnie na brak pilności uczniów skarżyć się nie możemy, a zdarzają się często wypadki, że zbytnią gorliwość hamować trzeba, kiedy ona powoduje znaczną liczbę uczniów, którzy rano wstają już o godzinie 4, aby przygotować się na lekcye, choć w myśl regulaminu dopiero o godzinie 6 rano wstać są obowiązani.

Jak corocznie, tak i w tym roku młodzież nasza w znacznej liczbie uczęszczała na wszystkie przedmioty nadobowiązkowe, które w gimnazyum się wykłada. Gimnastyka tylko, która w gimnazyum jest przedmiotem nadobowiązkowym, u nas w Zakładzie ze względów zdrowotnych jest dla wszystkich obowiązkowa.

Zdaniem wielu pedagogów, młodzież w pracy wychowawczej przełożonych nie powinna być tylko bierną, lecz współdziałać. W myśl tych zasad usiłujemy, by młodzi sami nad sobą pracowali przy pomocy i wskazówkach naszych. W ten sposób zdołają łatwiej i pewniej przyswoić sobie zasady, które powinny kierować ich postępowaniem przez całe życie. W imię też tej zasady dajemy młodzieży dość szeroką autonomię w różnych instytucyach, które w Zakładzie dla młodzieży powstały, a o których już na tem miejscu zeszłego roku pisałem.

Doświadczenie zdobyte przez bieg czasu utrwaliło mnie tylko w tem przekonaniu. Samorząd wprowadza w umysły młodzieży pewną samodzielność i inicyatywę, które tak ważną odgrywają rolę w życiu człowieka. Każda instytucya w Zakładzie (Sodalicya Maryańska, czytelnia „Zaranie", Kółko dramatyczne im. A. Fredry) założyła osobną dla siebie kasę oraz bibliotekę specyalną, które powiększają się wyłącznie staraniem członków.

Odczyty Sodalicyi Maryańskiej miały na celu przeważnie duchowe urobienie swych członków. Wskazuje na to treść tych odczytów, jak n. p. „Religia wobec szczęścia człowieka", „Masonerya", „Palenie ciał umarłych a nauka Kościoła", „Doktryna Lwa Tołstoja", „Jak kształcić charakter człowieka", „Ideały katolickiego studenta" i t. p.

Odczyty Czytelni „Zaranie" miały za cel z jednej strony pogłębiać naukę szkolną, czyto historyi, czy też literatury, a powtóre zadaniem czytelni było urządzanie obchodów narodowych. Na zebraniach czytelni omawiano prądy, panujące wśród młodzieży obecnej doby.

Kółko dramatyczne okazało w zeszłym roku wielką żywotność. Według przedłożonego mi sprawozdania, odbył wydział Kółka 25 posiedzeń, a ogólnych zebrań członków było 16. Świeżo powstała biblioteka Kółka liczy 67 sztuk scenicznych polskich i 18 niemieckich. Obrót kasowy przedstawia 245·24 koron w dochodach, a 236·28 koron w rozchodach. Występów większych było 16.

Dodać także można, że występy Kółka dramatycznego przyczyniły się znacznie do zyskania dochodów Towarzystwa Pań Miłosierdzia dla ubogich. Z pobieżnego rachunku wynika, że przeszłego roku i z początkiem roku bieżącego suma uzyskana na ubogich z przedstawień Kółka przewyższa tysiąc koron.

Sklepik w Zakładzie sprzedał towarów za kilkaset koron, działa uświadamiająco pod względem pochodzenia towarów, przeprowadza bojkot towarów obcych. Zyski stanowią w części kapitał rezerwowy, a po części służą jako kasa pożyczkowa.

Miarą zdrowotności w Zakładzie jest liczba opuszczenia szkoły z powodu chwilowego zachorowania — jest nią cyfra 66. Z czego wynika, że raz na rok mniej więcej wypada opuszczenie szkoły przez jednego ucznia.

Od lat kilku zniosłem obowiązkową spowiedź miesięczną, a wprowadziłem tygodniową spowiedź dobrowolną, z zachętą do częstej Komunii św. Zarządzenie to okazało się w skutkach bardzo dobre i dla duchownego rozwoju młodzieży wielce korzystne. Dziś stale uczęsza do spowiedzi tygodniowej 40—50 uczniów, a do Komunii św. codziennie przystępuje przeciętnie 20 studentów, jak wykazuje sprawozdanie zakrystyi, która zanotowała 4.815 Komunii św. rozdanych w Zakładzie w 250 dniach roku szkolnego.

Wychowanków naszych w Seminaryum kleryków mamy tak jak zeszłego roku 18, t. j. 3 na IV. roku teologii; 6 na III., 4 na II. i 5 na I. roku teologii. — Liczba księży, którzy wychowali się w Małem Seminaryum za naszych rządów stanowi cyfrę 16. Pracują oni już na różnych posterunkach pożytecznie dla Kościoła. Jeden zaś, X. Mieczysław Tarnawski, objął już katedrę historyi kościelnej w uniwersytecie lwowskim.

Pisałem w zeszłym roku, że zamierzam założyć „Związek byłych wychowanków Zakładu". Projekt ten w ciągu roku urzeczywistnił się. Dnia 16 czerwca przeszłego roku odbył się pierwszy zjazd byłych wychowanków. W zjeździe tym wzięło udział 60 dawnych uczniów Zakładu. Obchód założenia Związku byłych wychowanków M. Seminaryum tak opisuje, między innemi pismami, *Gazeta kościelna*, w numerze 26, r. 1913, na str. 310.

„Przy ul. Teatyńskiej istnieje od lat przeszło siedmdziesięciu internat, znany pod nazwą „Małego Seminaryum", oparty na funduszach i zapisach przeważnie dygnitarzy duchownych, a mający na celu dostarczanie kandydatów na kapłanów. Kierują zakładem obecnie XX. Misyonarze z rektorem ks. dr. Gaworzewskim na czele. Zakład wychował dotychczas blizko 1.500 użytecznych członków społeczeństwa, którzy za-

jęli przeważnie wybitne stanowiska, bądź to wśród hierarchii duchownej, bądź też wśród sfer świeckich. W bieżącym roku powstał „Związek byłych wychowanków Małego Seminaryum“, mający na celu utrzymanie wzajemnej łączności, dopomaganie Zakładowi i poszczególnym członkom Związku, poradą i przysługą, tudzież gromadzenie zasobów dla dalszych miejsc fundacyjnych. Dnia 16 czerwca odbyło się pierwsze walne zgromadzenie, zarazem zjazd byłych wychowanków, wśród których wiódł prym swym sędziwym wiekiem ksiądz infułat Rudolf Lewicki.

„W sali rekreacyjnej Zakładu, ozdobionej portretami dawnych arcybiskupów i rektorów seminaryum, podał X. Rektor Gaworzewski genezę Związku, uwydatnił akcyę podjętą około jego utworzenia i przewodnie paragrafy statutu, w których cel Związku ujęto w te słowa: a) łączyć węzłami przyjaźni byłych wychowanków Zakładu, tak między sobą, jakoteż i z Małem Seminaryum; b) pomagać Małemu Seminaryum bądź materyalnie, bądź poradą, przysługą itp. c) przychodzić z pomocą byłym wychowankom Zakładu w czasie ich studyów przed uzyskaniem samoistnego stanowiska, o ile na to zasługują, w miarę możności i nieodzownej potrzeby. Dla osiągnięcia tych celów podaje statut różne środki, a członków rozdziela na: a) założycieli, b) rzeczywistych, c) wspierających, d) kuratorów honorowych.

„Po ożywionej dyskusyi przyjęło walne zgromadzenie cały statut, wnioski uzupełniające członków poruczono wydziałowi do ujęcia w regulamin lub przedłożenia ich na następne walne zgromadzenie, wydział prowizoryczny zamieniono na stały i dokonano wpisu członków nowo zgłoszonych.

„Nastąpiły zdjęcia fotograficzne członków nowego Związku, poczem zasiadło w gościnnej jadalni zakładowej przeszło 40 osób do wspólnego stołu. Rzewny był to widok, kiedy obok siwowłosych weteranów, wychowanków zakładu z przed 46 laty, zajął miejsce liczny zastęp młodych, którzy niedawno dopiero wyszli z murów Zakładu w świat szeroki,

kiedy tużurki świeckie przeplatane liczniejszemi sutannami duchownemi złożyły się łącznie na miły a poważny nastrój biesiadny. Dawnych rektorów zakładu przypomniał tylko X. prałat Lubomęski, prefektów znalazło się czterech: XX. Serwacki, dr. Jougan, Józefowicz i dr. Jaszowski. Wnet ozwały się toasty na cześć rektora obecnego i dawniejszych, w uznaniu dla wydziału i jego najczynniejszych członków. Niezwykłego uroku dodały im wspomnienia chwil przeżytych niegdyś w Zakładzie, skreślone żywo przez ich uczestników, a zwłaszcza epizody z roku 1863, który i w tym Zakładzie nie przebrzmiał bez echa; owszem tenże poszczycić się może wielu wiarusami, którzy czynny wzięli udział w walce za wolność.

„Popis muzyczny i wokalny obecnych wychowanków Zakładu, pod batutą X. prefekta, jakoteż świetnie odegrana przez nich komedya Fredry p. t. „Dożywocie“, zakończyły program tego dnia uroczystego i pamiątkowego dla Zakładu. Z żywem uczuciem wielkiego uznania i wdzięczności dla obecnego X. Rektora, który dzień ten i Związek nowy do życia powołał, opuścili uczestnicy mury zakładu, ufni i świadomi, że odtąd częściej, a przynajmniej raz w roku, znajdą się znowu w tem kole, aby odnowić te wrażenia miłe i dopomódz do rozwoju Związku przez spełnianie zadań, jakie sobie zakreślił. Ci, którzy osobiście jawić się nie mogli przy tworzeniu się Związku lub też w przyszłości mieć będą przeszkodę, w walnem zebraniu zastąpić się mogą przesłaniem na ręce X. Rektora opisów, pamiątek lub epizodów z czasu swego pobytu w zakładzie, fotografii wspólnych lub odrębnych, co przyczynić się może do odtworzenia pełnych jego dziejów. Poza tem pożądane jest jednanie dalszych członków Związkowi, zawiadamianie o nim tych kolegów, którzy nie mieli sposobności dowiedzenia się jeszcze o powstaniu tego zrzeszenia. Słuszna przecie, aby Zakład, który puścił w świat około 1500 wychowanków, liczył ich w Związku nie jedną setkę, ale cały tysiąc.

„Tegoż dnia zgromadzeni wybrali pierwszy wydział, do

którego weszli: jako prezes, profesor Michał Bogusz; jako zastępca prezesa, radca Walery Włodzimirski; jako sekretarz, X. dr. Mieczysław Tarnawski; jako członkowie: profesor Antoni Borzemski, radcy Józef Białynia Chołodecki i dr. Ksawery Fischer, X. prałat Błażej Jaszowski, X. rektor dr. Józef Gaworzewski, w końcu starszy kontrolor Józef Krogólski. Ks. Arcybiskup Bilczewski, bawiący wówczas na wizytacyi w Tarnopolu, przesłał zgromadzonym telegraficznie swe błogosławieństwo i przystąpił do Związku jako członek założyciel. Życzymy nowej organizacyi jak najlepszego rozwoju, odczuwamy bowiem, jak doniosłem jest dla naszego społeczeństwa każde stowarzyszenie, kojarzące, łączące jednostki dla zbożnych celów". — Tyle *Gazeta kościelna*.

Praca nasza poza Zakładem obejmuje mniej więcej ten sam zakres, co przeszłego roku. X. Szulc więc uczy dalej w gimnazyum VI. jako stały katecheta tego Zakładu oraz w Zakładzie naukowym pani Strzałkowskiej i w szkole miejskiej dzieci anormalnie rozwiniętych umysłowo. — Poza tem praca nasza skupia się około Towarzystw, pracujących zwłaszcza pod firmą św. Wincentego a Paulo. Nie uchylamy się także od prac innych, mających na celu organizacyę społeczną całej archidyecezyi.

Rekolekcye, jakie daliśmy w zeszłym roku, są następujące: X. Szulc przewodniczył rekolekcyom w IV. gimnazyum (od 25 do 28 lutego), w liceum im. Królowej Jadwigi (od 4 do 7 marca), pań (od 5 do 8 marca), w zakładzie p. Niedziałkowskiej (od 12 do 18 marca), w zakładzie SS. Nazaretanek (od 2—5 listopada).

X. Król Stefan prowadził rekolekcye w szkole im. Konarskiego (od 3 do 5 marca).

X. Gaworzewski dawał rekolekcye: w zakładzie pani Strzałkowskiej (od 27 lutego do 3 marca), w szkole Benedyktynek o. ł. (od 5 do 8 marca), w VI. gimnazyum (od 14 do 18 marca).

Personal domu Zgromadzenia przy M. Seminaryum o tyle się zmienił, że miejsce X. Stefana Króla, który tu

w Zakładzie od sierpnia 1909 r. pracował, a we wrześniu przeszłego roku dom ten opuścił, przenosząc się do Kolegium św. Jana Kantego w Erie (Ameryka północna), objął X Józef Leńko, który dotychczas pracował w domu Zgromadzenia w Białym Kamieniu.

Ameryka północna.

Erie, Pa. — Ks. Superyor Głogowski pisze pod datą 22 grudnia 1913 r.

Przesyłam Ks. Wizytatorowi sprawozdanie z prac naszego Domu od początku jego otwarcia aż do Bożego Narodzenia w r. b. Trojakie są nasze zajęcia: t. j. wychowywanie młodzieży, misye i ekskursye z pomocą okolicznym Ks. Ks. Proboszczom.

Kolegium. — Na meetingu dnia 3 września 1912 oddano nam w zarząd i posiadanie budynek wraz z gruntami przyległymi, abyśmy stosownie do naszego powołania, wychowywali w nim młodzież na chwałę Bogu i pożytek naszego wychodztwa. Według ugody z korporacyą, która dotychczas zajmowała się budową gmachu i wszystkimi interesami, mającymi z nim styczność, budynek miał być oddany w nasze ręce po zupełnem wykończeniu. Tymczasem dużo jeszcze było braków w chwili objęcia go, a przedewszystkiem ogrzewanie zaledwo było zaczęte. Nie można było zwlekać z otwarciem szkoły, bo zapowiedziane ono było na 9 września. Powoli też zaczęli się zjeżdżać uczniowie, trochę lękliwi, boć to nowy zupełnie Zakład. Zgromadzenie nasze mało jeszcze znane było, zwłaszcza w tych stronach, a w dodatku Związek Narodowy Polski nie daleko, bo zaledwie 15 mil angielskich zakupił wspaniały hotel na szkołę wyższą i zawzięcie rozgłaszał w szumnych słowach otwarcie tejże szkoły na 10 września i to odrazu wszystkich klas kolegialnych. Nic dziwnego, że zgłosiło się do nich zgórą 300 młodzieńców, a u nas w dniu otwarcia znalazło się zaledwo 20, bo postanowiliśmy otwierać stopniowo klasy, co rok wyższą, aż

dojdziemy do pełnej liczby 5-ciu klas. W dodatku jeszcze był i kłopot z wyszukaniem profesora do przedmiotów angielskich, bo z nas żaden nie władał na tyle językiem angielskim, by się mógł podjąć wykładów. Pora była spóźniona, bo każdy stara się o miejsce w czasie wakacyi. Nic też dziwnego, że dostaliśmy człowieka, dobrego i zacnego wprawdzie co do charakteru, ale niepedagoga. Dużo z nim było kłopotu w ciągu roku szkolnego i już koło półrocza doszliśmy do przekonania, że niemożliwem będzie trzymać go nadal. Od nowego półrocza zgłosiło się jeszcze kilku studentów, tak że doszliśmy do liczby 25-ciu. Tak mała liczba studentów nie mogła opłacić się finansowo i musieliśmy przez ten pierwszy rok dokładać grubo do ich utrzymania. Gdyby nie misye i ekskursye, nie bylibyśmy podołali tym wydatkom. Bo oprócz długu hipotecznego, wynoszącego blizko 100.000 dolarów było jeszcze rozmaitych rachunków z budowy przeszło 20.000 dol. do wyrównania. Położenie nasze było wprost rozpaczliwe, gdy rozmaici dostawcy i fabrykanci zaczęli nalegać na nas o wyrównanie rachunków. Całe szczęście, że do zarządu korporacyi, przed oddaniem nam budynku, należeli ludzie znani i wpływowi, którzy też po ustąpieniu swojem nie przestali się interesować naszem kolegium i ich to wpływowi przedewszystkiem mamy do zawdzięczenia, ze banki w Erie nie odmówiły nam kredytu. A prócz tego sami pracowaliśmy wprost nad siły, jeżdżąc czy to na misye czy też rozmaite ekskursye, żeby zadosyć uczynić tym wszystkim wołaniom o nieszczęsną mamonę. W znacznej mierze dopomogły nam także nasze trzy parafie do wybrnęcia z tych kłopotów pieniężnych, składając daninę na ten jedyny nasz Dom w Ameryce, będący naszą własnością. Na domiar złego pokazało się dużo braków w budowie i urządzeniu i trzeba je było uzupełniać z uszczerbkiem dla tych dłużników, którzy i tak już długo czekali cierpliwie na swoją kolej. Ale z pomocą Boga, który widocznie błogosławił temu ziarnku gorczycznemu, wybrnęliśmy z tych kłopotów i dziś, choć nie zupełnie wolni od troski na przyszłość, z większą już ufnością spoglądamy

w dal i jeśli tylko uda nam się rozwiązać dobrze problem ustalenia kolegium pod względem naukowym, możemy całkiem być spokojni o jego przyszłość.

Naukę zaczęliśmy dopiero 15 września, bo niemożliwem było przygotować wszystko wcześniej, a choć tak spóźnioną była pora, jeszcze nie mieliśmy wszystkich podręczników. — Pracę rozłożyliśmy w ten sposób, że podpisany podjął się uczyć łaciny i niemieckiego języka. ks. Włodarczyk religii, polskiego i historyi polskiej, profesor angielski języka angielskiego, matematyki i geografii — wszystkich godzin było tygodniowo 30. Z tego przypadło na podpisanego 8, na ks. Włodarczyka 11 i cały dozór, na profesora także 11 godzin. Szła nauka zrazu bardzo tępo, bo młodzież amerykańska nie przywykła w szkołach normalnych pracować poza szkołą i dużo upłynęło czasu, nim zdołaliśmy ich przymusić do przygotowania lekcyi w czasie studyum. Nieraz trzeba się było uciekać do środków nawet bardzo surowych, do bolesnych operacyi, a wszystko zdawało się daremnem. Dopiero wprowadzenie klasyfikacyi miesięcznej sprowadziło pożądany skutek, ale tylko dla tego, że po tej klasyfikacyi zmienialiśmy im miejsca w refektarzu: kto miał wyższe miejsce w klasie, ten również posiadł się wyżej przy stole, otrzymał wcześniej porcyę, a przedewszystkiem miał okazyę do brzydkiego i często ganionego zwyczaju wyławiania części konkretniejszych z wazy z rosołem. Złe to było, ale mieliśmy nadzieję prędszego wyleczenia ich z tego, aniżeli z nałogowego lenistwa. Uczniowie, którzy przez pierwsze miesiące żadnej nie zdradzali ambicyi, rychło potem zaczęli się posuwać naprzód. Urządziliśmy trzykrotny tylko posiłek i zamiast praktykowanego gdzieindziej podwieczorku, daliśmy im kawę przy obiedzie, z czego byli bardzo kontenci, a myśmy na tem wychodzili lepiej finansowo. Pokarm mają zdrowy i obfity, nigdy też nie słyszałem żadnego narzekania, choć u młodzieży nie trudno o nie.

Rok szkolny zakończyliśmy egzaminem dnia 20 czerwca, na który sprosiliśmy kilku księży, aby uświetnili tę uroczystą

chwilę swoją obecnością. Egzamin udał się świetnie, nawet profesorowi angielskiemu lepiej, niż się można było spodziewać. Goście byli wprost zachwyceni odpowiedziami studentów i nie szczędzili im pochwał i zachęty na przyszłość. Zaraz po egzaminie odbyło się rozdanie świadectw, a w $^1/_2$ godziny potem wszyscy byli gotowi do odjazdu. Na drugi dzień cisza głucha zaległa w murach kolegium, bo w ślad za uczniami podążyli na kolej i ci księża, którzy jeszcze pozostali w domu, aby zająć miejsca rozmaitych proboszczów, którzy prosili o zastępstwa w czasie wakacyi. Pozostałem w domu sam wraz braćmi i służbą, aby przygotować kolegium na przyjęcie nowych uczniów z początkiem września, a wpierw jeszcze na pomieszczenie księży dyecezalnych na rekolekcye roczne, które po raz pierwszy miały się odprawić w naszych murach. Już poprzednio, Ks. Biskup Fitzmaurice prosił, żeby przyjąć księży dyecezalnych na te rekolekcye, ale długo się wahałem, nim dałem mu stanowczą odpowiedź, bo raz, Dom nasz zbyt nowy i dużo ma braków, które można było uzupełnić tylko z wielkim nakładem; a powtóre, kuchnia amerykańska tak zupełnie różna od naszej polskiej, że lękałem się na samą myśl, ile to będzie szemrania i niezadowolenia, jeśli się podejmiemy tego kłopotu. Ostatecznie po długim namyśle i naradach, postanowiliśmy uczynić zadość prośbie Ks. Biskupa. Sprawunki porobiliśmy tylko takie, jakich wymagać mogła zwiększona liczba studentów, której się spodziewaliśmy; zaś co do kuchni, postanowiliśmy wynająć ludzi potrzebnych, a znających się na gotowaniu amerykańskim sposobem. Nie liczyliśmy na zarobek jakiś, ale kierowaliśmy się jedynie tą myślą, że wymaga tego duch naszego Zgromadzenia. — I dobrześmy zrobili, bo rekolekcye udały się świetnie, Ks. Biskup i wszyscy księża jednogłośnie powtarzali, że takich spokojnych i pod wszelkim względem miłych rekolekcyi nie mieli od wielu, wielu lat. Nawet to, czego najmniej spodziewaliśmy się, tj. jakiejś korzyści materyalnej, znalazło się, bo po wyrównaniu wszystkich rachun-

ków zostało blizko 300 dol. nadwyżki. Tak to dobry Bóg stokrotnie wynagradza każdy dobry uczynek.

Zgłoszeń do kolegium nowych uczniów otrzymałem w czasie wakacyi dosyć dużo, tak że miałem nadzieję rozpoczęcia nowego roku szkolnego z okrągłą 60-tką i nie zawiodłem się, bo rzeczywiście zaczęliśmy rok szkolny tą liczbą. Dziś jest ich tylko 56, bo 2 trzeba było wydalić, a dwóch poszło dobrowolnie. Najważniejszem zadaniem było zapewnić sobie dobrych profesorów do przedmiotów angielskich. Nauczony smutnem doświadczeniem zeszłorocznem, zacząłem robić starania już w maju i dzięki pośrednictwu naszych konfratrów angielskich, dostaliśmy dwóch bardzo dobrych profesorów, którzy obok miłych własności charakteru, co jest czynnikiem nader ważnym z powodu ciągłego pożycia z nimi, są zarazem wybitnemi siłami pedagogicznemi. Również zamówiłem wcześnie wszystkie podręczniki, tak że z dniem rozpoczęcia nauki wszystko było gotowe. Na razie uczyliśmy we czterech, tj. podpisany, ks. Włodarczyk i dwaj profesorowie angielscy, bo pomoc nader upragniona z kraju miała przybyć dopiero z początkiem października. Skoro więc nadjechali księża Król i Sadowski, zrobiliśmy nowy rozkład pracy naszej. Ks. Król został zamianowany w miejsce Ks. Włodarczyka dyrektorem, a Ks. Sadowski jego pomocnikiem. Z 60-ciu godzin nauki tygodniowej przypadło na Ks. Włodarczyka 17, na Ks. Króla 9, na Ks. Sadowskiego 12, a na profesorów świeckich po 11 godzin, a zato podpisanego uwolniono od nauczania, z powodu liczniejszych zajęć kancelaryjnych w roku obecnym. Do II. klasy nowych uczniów zgłosiło się dwóch, do I. kl. 33. Materyał w klasie I. o wiele lepszy od II. klasy, na co godzą się wszyscy profesorowie. Konferencye odbywają się regularnie, celem wzajemnego porozumienia się i wykrycia braków, jakie mogą się pojawić.

M i s y e. — Drugiem naszem zajęciem głównem są misye. Przeznaczonych jest pięciu księży do tych prac apostolskich, a zazwyczaj dzielą się na dwie partye: do parafii o większej liczbie dusz jedzie trzech księży, do mniejszych zaś dwóch

tylko. Z początku, mimo nawet rozesłania cyrkularzy do wszystkich proboszczów polskich w Ameryce północnej, lękaliśmy się, czy będziemy mieli dosyć zajęcia na dwie partye; dziś lękamy się tylko o to, by żaden nie zachorował, bo nie byłoby kim zapełnić luki. Pracy mamy tak wiele, że raczej trzebaby nam narzekać na przeciążenie; dość powiedzieć, że cały rok 1914 mamy wypełniony, a są już zamówione 3 misye na post w r. 1915. W r. 1912/13 aż do wakacyi odprawili nasi misyonarze 25 misyi, niemal bez wytchnienia. Prócz misyi podejmowaliśmy się także kazań na 40-to godzinnych nabożeństwach; takich tryduów w powyższym terminie odprawiliśmy 9. Skoro zaś ukończył się sezon misyjny z chwilą nastania upałów letnich, które trwają tutaj od połowy czerwca do połowy września, rozjechali się wszyscy księża, prócz podpisanego na zastępstwa po rozmaitych parafiach Tyle było tych suplik o zastępstwa, że nie mogliśmy żadną miarą wszystkim zadość uczynić, i niektórzy z proboszczów, nie mogąc go otrzymać w zeszłem roku, odrazu zamawiali je na r. 1914. Prawda, że to nie bardzo zgadza się z duchem naszego powołania, bo przez zastępstwa wiele ucierpi życie nasze wspólne, ale zmusza nas do tego bieda i ciągła potrzeba grosza. Skoro tylko wydobędziemy się z tego niedostatku, nie będziemy potrzebowali uciekać się do takich środków i konfratrzy będą mogli zażyć więcej słusznie im należącego się wypoczynku po tak wyczerpującej pracy całorocznej. Nie będę opisywał misyi z osobna dla tego, że częścią już opis ich był ogłoszony w naszych „Rocznikach", a częścią konfratrzy przygotowują jeszcze opis tychże. W obecnym sezonie nowe dla nas otwarło się pole misyjne, bo aż w Texas, dokąd w II. święto Bożego Narodzenia wyjeżdżają księża Słupiński i Tyżyński, by tam w miesiącach styczniu i lutym odprawić 9 misyi po małych wprawdzie parafiach, ale zato bardzo opuszczonych, bo z powodu wielkiej odległości, misyonarze rzadko tylko mogą się tam zapuszczać. Niektóre z tych parafii prawie zupełnie zangliczone i nasz konfrater ks. Tyżyński będzie miał okazyę

do zużytkowania angielszczyzny, jakiej nabył u konfratrów angielskich.

Ekskursye. — Jeżeli gdziekolwiek ma zastosowanie słowo Zbawiciela: „żniwoć wprawdzie wielkie, ale robotników mało“, to tutaj przedewszystkiem, w tej „czwartej dzielnicy polskiej“. Parafie rosną z powodu ciągłego napływu imigrantów, nowe powstają w tak szybkiem po sobie następstwie, że duchowieństwo polskie, choć dawno już przekroczyło okazałą liczbę 800, przecież nie może podołać pracy, a powołań stosunkowo jeszcze mało, bo ludzie nasi dopiero po większej części dorabiają się względnego dobrobytu i nie wielu tylko zdobyć się mogło na to, by synów swoich posłać do szkół, celem wyższego kształcenia ich. Skoro więc na wstępie ogłosiliśmy, iż gotowi jesteśmy nieść pomoc duchowieństwu parafialnemu w jego pracy, zaraz zgłosiło się kilku. W r. 1912/13 do wakacyi mogliśmy przyjąć tylko 2 stałe ekskursye, bo trudno było odrywać księży od pracy misyjnej; jeździł zatem z pomocą na przemianę z ks. Włodarczykiem podpisany. Ile razy zaś znalazła się jakaś niedziela wolna od misyi, była już na to miejsce obiecana ekskursya. W ten sposób także urządzaliśmy spowiedź wielkanocną po takich parafiach angielskich, gdzie znajdują się Polacy w większej lub mniejszej ilości. Takich miejscowości odwiedziliśmy w r. 1912/13 siedem. Od początku października r. b. przyjęliśmy 3 stałe ekskursye w każdą sobotę i niedzielę: tj. do North Tonawandy, do Johnsonburga i do Cleveland; wyjeżdżają zwykle księża Głogowski, Włodarczyk i Sadowski. Prócz tego mamy zwykle zamówienia na święta dla tych wszystkich księży, którzy są wolni od misyi; choćby nas było drugie tyle, nie brakłoby pracy. Na obecne n. p. święta Bożego Narodzenia zgłosiło się o pomoc aż 7-miu proboszczów, a mamy równocześnie dwie misye, których zakończenie przypada na tę uroczystość.

Dla uzupełnienia dodam jeszcze, że w r. b. od wakacyi odprawiliśmy 8 większych misyi, 6 nabożeństw 40-to go-



Kościół księży Misyonarzy w New Haven, Conn.

(Patrz *Roczniki* z r. 1913, Nr. 3, str. 261 i Nr. 4, str. 353).

dzinnych; zaś od Nowego Roku aż do wakacyi mamy misyi zamówionych 22 i 5 nabożeństw 40-to godzinnych.

Ameryka południowa.

Prudentopolis. — *Z listu ks. Superyora Bronnego do Przew. ks. Wizytatora, z dnia 16 stycznia b. r.*

Praca nasza w roku ubiegłym przedstawia się w danych statystycznych w sposób następujący: chrztów 567, z tego na koloniach 250; ślubów 80, z tego na koloniach 27; chorych zaopatrzono 30, z tego na koloniach 8; Komunii św. rozdano 15.232, z tego na koloniach 3.422; dzieci do pierwszej Komunii św. przygotowano 107, mianowicie polskich 67, niemieckich 16, brazylijskich 24.

Kościół polski zaopatrzyliśmy w dwa piękne ambujowe konfesyonały w stylu gotyckim, za 500 milrejsów, i w ładną chrzcielnicę za 100 milr. Wieżę uzbroiliśmy dla bezpieczeństwa w gromochron.

W brazylijskim kościele postawiono ołtarz Najśw. Serca P. Jezusa, kosztem około 1.000 milr., razem z figurą, wynoszącą 130 cm., sprowadzoną od Stufflessera. Wewnątrz zapełniono kościół ławkami w liczbie 22, każda po 20 milr.; pomalowano chór. Na zewnątrz odbywa się jeszcze praca koło niego; postawiono dwie wieże według planu, pokryto je cynkową blachą i zaopatrzono w gromochron; naokoło hełmów biegnie żelazny płotek, w narożnikach wznoszą się małe wieżyczki, podobnie jak w Abranches, z tą różnicą tylko, że u nas hełmy są bardzo smukłe, na 10 m. wysokie. Wysokość wież wynosi 26 metrów. Obecnie tynkujemy fasadę. Mamy zamiar skończyć w tym roku, ale nie wiem, czy się uda, bo robotnik bardzo drogi. Metr kwadratowy tynku kosztuje 5 milr., a 1 kg. wapna 150 rejsów, a nadto obecnie wszędzie daje się odczuwać brak kapitału, przedsiębiorstwa upadły, handel także, herwa spadła do cen niebywałych w ostatnich latach — wobec tego także mało co wpływa do kasy kościelnej. Urządzono loteryę na ukończenie kościoła;

trudno jednak sprzedać wszystkie losy — czystego zysku ma przynieść 8 kontów [1]). Cała przyczyna tych niepowodzeń ma źródło na Bałkanie, bo Europa, a właściwie finansiści zamknęli swe kieszenie, bo rząd federalny pono nie chce im gwarantować procentów. Jeżeli skończymy, to ma zjechać ks. Biskup na wizytacyę i konsekrować piąty kościół w Paranie.

W domu naszym i u Sióstr zaprowadziliśmy elektryczne oświetlenie, płacimy według zegaru obydwa domy razem — wypada nam taniej niż nafta i mamy pewną wygodę.

Na Itaparze kościółek jest na ukończeniu. Wewnątrz nieszczególnie wygląda; nie dało się już nic zrobić, bo już wszystek materyał był gotowy, kiedy do Prudentopolis przybyłem; a przytem było tam bardzo wielu majstrów, a każdy po swojemu robił. Wewnątrz bardzo ładnie wygląda, sklepienie ma podobne do naszego w Prudentopolis, daleko nawet ładniejsze, gdyż rozety występują wyraźniej, bardziej łamane, łuki ostrzejsze.

Na Kalmonie kościółek stoi, ale trudno go wykończyć; ludzie stracili zupełnie ochotę, trudno milrejsa wydostać. Postawili plebanię i chcą mieć koniecznie księdza na miejscu; zwracali się już w tej sprawie do ks. Chylaszka.

Na linii Esperansie stoi już dość duża kaplica, ale także jeszcze niewykończona, dla braku funduszów.

Piętnastego stycznia otworzyliśmy szkołę. Frekwencya dzieci nie tylko nie zmalała wobec rządowej szkoły, ale się jeszcze wzmogła. Siostry mają co uczyć; cztery są zajęte w szkole. Jedna Siostra ustawicznie zajęta apteką, gdyż dziennie 10 do 15 osób przychodzi po lekarstwa i poradę; oprócz tego ciągle wychodzi do miasta do chorych, mimo że jest na miejscu lekarz, apteka i Siostry ruskie, które także leczą. Przydałaby się jeszcze choć jedna Siostra. Stowarzyszenie Dzieci Maryi i Anioła Stróża bardzo się rozwija.

W czerwcu założono polskie towarzystwo „Wzajemnej Pomocy", składające się przeważnie z rękodzielników. W tym

---

[1]) Kont = 1000 milrejsów.

roku chcemy założyć stowarzyszenie „Matek chrześcijańskich“, podobnie jak w Abranches. Chcą także koniecznie otworzyć ochronkę dla dzieci; widoki są po temu, że dzieło może się rozwinąć. Sprawa ze szpitalem, o której pisałem, coraz więcej zyskuje rozgłosu; zdaje się, że gdy przystąpimy do budowy, będzie poparcie.

— *Z listu ks. Franciszka Ździebły do Przew. ks. Wizytatora, datowanego w Prudentopolis, dnia 18 grudnia 1913 r.*

Zastój, jaki jest w Brazylii z powodu wojny bałkańskiej, odbił się trochę i u nas; o grosz trudniej w Prudentopolis, bo zarobki przy kolejach i tartakach stanęły; kapitaliści francuscy pieniędzy nie dają i wskutek tego nawet zaczęte koleje wstrzymano, a o nowych robotach kolejowych nawet tu nic nie mówią. Wskutek tego i kolej, mająca już być zaczętą z Ponta Grossy przez Prudentopolis do Guarapuawy, a podobno aż do Matto Grosso, odłożoną została podobno na 4 lata. Jest to dla Prudentopolis wielka strata. Herwa, jedyny produkt eksportowy Parany, tak potaniała, że się koło niej nawet robić nie opłaci. Dużo kupców, którzy arobę (15 kg.) kupowali po 3 milr. 500 rejsów i wyżej, dziś za nią płacić nie chcą po 1 milr. 200, a Prudentopolis, żyjące z powodu lichej ziemi jedynie z herwalów, na tym spadku ceny za herwę bardzo cierpi, tak kupcy jak i producenci. Do tego dołączyła się posucha, nie tak bezwzględna jak przed trzema laty, ale więcej szkodliwa, bo już trwająca blizko rok. Żyta z powodu posuchy przepadły, zjadła je rdza tak, że ze sekretaryatu rolnictwa wyszedł dekret palenia żyta na pniu, by rdzę wyniszczyć i zapobiedz szkodzie na lata następne. Ale koloniści żałują tego marnego trochę ziarna, rozporządzenia nie słuchają i nikt im też za to nic nie zrobi, bo w Brazylii dużo dekretują, ale mało wykonują.

Praca nasza w parafii i poza parafią ciągle się wzmaga, jak to będzie mógł Czcig. Ks. Wizytator widzieć w rocznem sprawozdaniu. Ilość rozdanych komunikantów podniosła się z 13.000 z roku zeszłego do 16.000, to samo z ekskursyami,

z pracą nad stowarzyszeniami i pracą poza domem, zwłaszcza przy budowie kościołów w samem Prudentopolis i kaplic na koloniach Sam po sobie czuję, że księża przy takich rozjazdach po dalekich koloniach nie wytrzymają; trzeba będzie albo na dalekich koloniach poumieszczać księży, za czem oświadczył się i ks. Chylaszek, tu będąc, albo co pewien czas zmieniać księży z Prudentopolis i brandery zastępować świeżemi siłami.

Guarany-mirim. — *List ks. Superyora Górala do Przew. Ks. Wizytatora, datowany z Hanzy, dnia 21 października 1913 r.*

Korzystam z kilku wolniejszych chwil, jakie mam tu w Hanzie, do której przybyłem z ekskursyą, aby nakarmić słowem bożem i wzmocnić św. Sakramentami w tutejszych koloniach rozprószonych Polaków.

Budowa nowego kościoła w Rio Vermelho będzie wkrótce ukończoną; staram się wszelkiemi siłami, aby murarze ukończyli roboty wewnętrzne (tynkowanie) w październiku, najpóźniej w połowie listopada. Może mi się uda i kościół odrazu wymalować. Chciałbym go uroczyście poświęcić w uroczystość Niepok. Poczęcia. Ogólnie się wszystkim podoba; jest ozdobą Wermela, a radością wielką tutejszego ludu. Może podam dokładniejszy opis i fotografię kościoła do naszych „Roczników".

Z budową kościoła tutejszego łączy się ściśle i druga sprawa. Ks. Biskup Becker obiecał podobno Polakom stałego księdza, gdy kościół stanie pod dachem, w dodatku sąsiednie kolonie polskie, należące do niemieckiej parafii w Sao Bento, robią starania, aby do polskiej parafii w Rio Vermelho nanależeć mogły. Od samych księży niemieckich Serca Jezusowego wiem, że podobno biskupi konsystorz we Florianopolis jest skłonnym do utworzenia, a raczej powiększenia polskiej parafii w Rio Vermelho przez przyłączenie do niej brazylijskiego miasteczka powiatowego, Campo Alegre, i sąsiednich kolonii polskich.

Badensi [1]), odłączeni na własne życzenie, a za mojem staraniem, od naszej parafii w Massarandubie, są obecnie zupełnie opuszczeni, bez nabożeństwa, chcieliby radzi z powrotem do naszej parafii należeć; ale my ich nie bardzo pragniemy; przychodzą do nas z chrztami, jeździmy także do ich chorych ze względu na chorowitego proboszcza obecnego, do którego także mają trzy godziny drogi. Obecnie już błąd swój uznają.

Komunikacyę z Wermelem mamy także coraz lepszą. Od kwietnia b. r. kursuje już karkołomna kolej z Hanzy przez Rio Negro do Kurytyby. Nie potrzebujemy przeto w naszych ekskursyach do Rio Vermelho w Hanzie nocować ani opłacać stąd kosztownej furmanki po 20—30 milrejsów dotąd, a drugie tyle z powrotem. Koszta podróży są przeto nieznaczne. Także przez przykrą pikadę [2]), prowadzącą z Massaranduby do dworca kolejowego w Bananal rząd robi obecnie wygodną 6-metrową drogę, w dodatku przeprowadza zupełnie nową, krótszą drogę na Massarandubę, tak że za 2 do 3 godzin możemy być już na stacyi kolejowej. Wobec tak znacznych ułatwień w połączeniu z drugą parafią w Rio Vermelho, będziemy stale dwa razy w miesiącu ich odwiedzać: w pierwszą i trzecią niedzielę, i na wszystkie wielkie święta, jak Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki.

Ekskursye te dalsze trwają zwykle kilka dni; od piątku do wtorku, dla wygody kolonistów, aby mogli łatwiej swe duchowne sprawy pozałatwiać.

Na 16 km. drogi z Rio Vermelho do Hanzy mamy szkołę w domu wynajętym już przeszło pół roku. Uczy w niej jeden z tutejszych inteligentniejszych kolonistów wcale dobrze, lud z niego zadowolony. Obecnie rozwinął on energiczne starania o zbudowanie nowej szkoły z cegły. W zasadzie na to już tamtejsi koloniści się zgadzają, mają nawet cegłę zakupioną, muszę ich także skutecznie wesprzeć, aby dzieło do końca doprowa-

---

[1]) Niemcy z Badenii.

[2]) Pikada = ścieżka.

dzili. Projekt podobny miałem od samego początku objęcia tutejszych parafiii, tylko sprawę chciałem przeprowadzić wolniej i taniej, bo teraz lud wiele musi płacić na budowę kościoła, mówiłem im już o tem. Starą kaplicę po zbudowaniu kościoła w Rio Vermelho chciałem rozebrać i ze zdrowego materyału zbudować szkołę-kaplicę na 16-tym klm.; byłoby to tanio wypadło, prawie bez żadnych kosztów. Ale ponieważ już starania o zbudowanie nowej, murowanej szkoły są w toku, nie robię im trudności, owszem popieram; oglądałem na planie rozkład budynku; sala szkolna dosyć wielka, będzie więc można kilka razy w roku w niej mszę św. odprawić i wyspowiadać staruszków i dzieci. Szkoła będzie wprawdzie kosztowniejszą, ale za to i trwalszą.

Poznać więc może Ksiądz Wizytator z tego listu, że sprawa boża postępuje u nas pomyślnie naprzód i że Bóg nam błogosławi, lubo zsyła często liczne trudności. Nie zapominamy i o ekskursach misyjnych, o ile nam wolno i nasi niemieccy sąsiedzi sobie tego życzą lub zezwalają na nasze wpraszania się i narzucania.

Chciałem przed poświęceniem kościoła w Rio Vermelho i w Massarandubie b. r. odprawić misye ludowe, ks. Chylaszek odradził, że lepiej będzie z początkiem postu. Niech więc i tak będzie.

Parafia wciąż wzrasta. W jej obrębie, na wolnych obszarach, zamierza rząd centralny osadzić europejskich emigrantów. Pisałem do konsula Bertoniego, czyby się nie udało tam osadzić naszego ludu.

— *Sprawozdanie ks. Superyora Górala, z dnia 10 stycznia b. r.*

Zamierzam w sposób kronikarski podać garść wiadomości o pracy naszego Domu w ubiegłym roku.

Przedewszystkiem pamiętać należy, że obsługujemy dwie polskie parafie i urządzamy wycieczki misyjne do Polaków, rozprószonych w sąsiednich niemieckich parafiach, o ile nam księża proboszczowie pozwolą.

W kaplicy naszej, w Guarany-mirim, odprawiamy stale, w każdą niedzielę i święto, nabożeństwa parafialne przed południem i po południu. Z powodu letnich skwarów tutejszych zaczynamy sumę już o godzinie wpół do 10-tej, jak sobie tego koloniści życzą. Po południu odprawiamy błogosławieństwo Najśw. Sakramentem, na które schodzą się tylko najbliżsi osadnicy.

W wielkim poście odprawiamy uroczyście „Gorzkie żale“ z wystawieniem Najśw. Sakramentu i kazaniem o Męce Pańskiej, jak to jest zwyczajem w Galicyi. Uroczystość Najśw. Serca Jezusa, pod którego wezwaniem tutejsza kaplica zbudowana, obchodzi się okazale przez trzy dni: piątek, sobotę i niedzielę; poprzedza ją nowenna, w czasie oktawy Bożego Ciała, na której głosimy krótkie nauki o Najśw. Sercu Jezusowem, w tym celu, aby kaplica zyskała w ostatnią niedzielę czerwca przywilej odpustu *toties-quoties*, stosownie do dekretu Ojca świętego. Uroczyście rownież obchodzimy każdą pierwszą niedzielę miesiąca ku czci Najsłodszego Serca Jezusowego, z wystawieniem Najśw. Sakramentu, odśpiewaniem litanii, odczytaniem aktu poświęcenia i procesyą. Na lud wywiera ona miłe wrażenie; więcej przystępuje w tę niedzielę do świętych Sakramentów. W ubiegłym roku rozdaliśmy do 3.000 Komunii św., a kazań w tutejszej kaplicy wygłosiliśmy 95, między nimi 10 w języku niemieckim. Około 60 kazań wypowiedzieliśmy po kaplicach w obrębie tutejszej parafii. Treść kazań rozłożyliśmy sobie na trzy lata: w pierwszym roku miewaliśmy nauki dogmatyczne o wierze, objaśnialiśmy Skład Apostolski; w drugim tłómaczyliśmy Sakramenta święte; a w roku bieżącym mówimy o przykazaniach boskich i kościelnych.

Do pierwszej spowiedzi i Komunii świętej przygotowujemy dzieci przez czas wielkiego postu, a w niedzielę przewodnią urządzamy uroczyste przyjęcie po raz pierwszy dziatek do Stołu Pańskiego. Wyjątkowo tylko przyjmujemy w innym czasie dzieci kolonistów z innych parafii lub nowo

przybyłych. W roku zeszłym było około stu dzieci do pierwszej Komunii świętej.

Pamiętamy też o naszych szkołach. Do tutejszej w Guarany-mirim chodzimy dwa razy, a na Massarandubę raz w tygodniu; dalsze odwiedzamy przy sposobności, jak np. w razie ekskursyi lub wracając od chorych. W niedzielę urządzamy przed sumą katechizacyę dzieci, mając na myśli przedewszystkiem starszych i dorosłych, którzy do szkoły wcale nie chodzili lub słyszane prawdy dawno zapomnieli.

Prócz pracy miejscowej urządzamy ekskursye do kaplic w obrębie naszej parafii, tak że nader rzadko nas dwóch bywa na niedzielnem nabożeństwie w Guarany-mirim. Ekskursyi tych odbyć nie można w jednym dniu, jak np. w Galicyi wschodniej, gdzie do kaplicy kilka kilometrów dobrej drogi, a tu mil kilka. Ekskursya trwa u nas zwykle dwa do trzech dni: pierwszego dnia ksiądz przyjeżdża, spowiada pod wieczór, drugiego dnia kończy spowiedź, a po nabożeństwie odjeżdża. Gdzie więcej jest ludzi lub dwie kolonie razem się łączą przy jednej kaplicy, tam zostajemy i trzeci dzień, jak w Braço do Norte. Na Wermelu zostajemy około tygodnia lub jeszcze dłużej, stosownie do potrzeby.

W ubiegłym roku zrobiliśmy okrągłe 30 ekskursyi do kaplic naszych.

Wiele czasu poświęcamy drugiej naszej parafii w Rio Vermelho, zwanem przez lud Wermelem. Nabożeństwo odprawiamy w podobny sposób, jak w Guarany-mirim. Tam również zaprowadzono Stowarzyszenie Apostolstwa Modlitwy i Żywy Różaniec. Zwykle jesteśmy w pierwszą niedzielę miesiąca na Wermelu, aby uroczyście ją obchodzić ku czci Najśw. Serca Jezusowego.

Zeszłego roku ukończyliśmy budowę nowego kościoła, poświęconego uroczyście pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny od Cudownego Medalika, dnia 8 grudnia w uroczystość Jej Niepokalanego Poczęcia. — W wolniejszej chwili napiszę i nadeszlę kilka szczegółów o tym kościele.

Nie tylko z budową kościoła mieliśmy wiele różnych

kłopotów, ale i z tutejszą szkołą. Do kwietnia 1913 r. uczyła w niej tak zw. „Siostra“ Helena. Byli z niej zadowoleni. W kwietniu wyjechała do Europy, zabrakło przeto nauczyciela. Księdzu nie wolno się do zarządu szkoły mieszać, bo szkoła jest „towarzyska“, należy do „Towarzystwa Bratniej Pomocy“, które na Wermelu już od kilkunastu lat istnieje. W takich szkołach nie rządzi ksiądz, ale prezes Towarzystwa, a rządzi po swojemu. Niektóre postępowe i bezbożne towarzystwa wzbraniają nawet księdzu wstępu do szkoły. Stąd i ja zdala się trzymałem, polecając Towarzystwu starać się o nauczyciela. Tymczasem czekamy miesiąc za miesiącem, Towarzystwo nic nie robi, a my nauczyciela nie mamy. Wreszcie lud był coraz więcej niezadowolonym, Towarzystwo skłaniało się do ustąpienia szkoły na rzecz parafii, o co mi właśnie chodziło. Zwołałem ogólne posiedzenie; na niem członkowie Towarzystwa sprzedali grunt, na którym szkoła stoi, parafii polskiej za cenę, jaką sami dali za nią; budynek szkolny oddano bezinteresownie, gdyż zbudowano go ze składek publicznych.

Kupno nabycia szkoły towarzyskiej na rzecz parafii polskiej przeprowadziłem piśmiennie, urzędowo, żeby był spokój na przyszłość. Wprawdzie dwóch członków okazywało po wendach przy kieliszku swe niezadowolenie, lecz i oni niebawem się uspokoili.

Sprawa nie była jeszcze ukończona, a już zgłosił się do mnie nauczyciel, którego, po zasięgnięciu pewnych informacyi, przyjąłem. Jest on obecnie nie tylko nauczycielem, ale i organistą i kościelnym w jednej osobie. Na razie to wystarcza dla Wermelu.

Nie mniej trudności sprawia nam tamtejsza szkoła niemiecka, także towarzyska. Niemcy w Rio Vermelho są wszyscy katolikami z wyjątkiem dwóch rodzin, a przecież w szkole nie wolno księdzu nawet uczyć religii. Nic dziwnego; są to katolicy z nazwy, ochrzczeni poganie. Nigdy nie uczęszczają do kościoła na nabożeństwa, nie przystępują do święych Sakramentów, nawet zadowalają się samym ślubem cywilnym.

Wyraził się jeden z nich, że nie potrzebują „adwokata“ przed Bogiem!..

Nie tylko rodzice, ale i dzieci ich żyją bez Boga. Rodzice nie uczą ich pacierza, bo sami go nie umieją, nawet dziecko mające 12 do 14 lat nie umie *Vater unser*, nie wie nawet, jak się ma przeżegnać. Cóż z nimi zrobić? Jak ich przygotować do św. Sakramentów, kiedy ani rodzice ani dzieci tego nie chcą? Same trudności!.. Oby ich Bóg oświecił i zbawił.

Prócz pracy we własnej parafii, spieszymy z pomocą naszemu ludowi, zamieszkałemu w sąsiednich, niemieckich parafiach. Zależy to jednakże przedewszystkiem od woli i życzenia księży proboszczów.

W ubiegłym roku mieliśmy kilka dalszych ekskursyi, jak w następującym wykazie uwidoczniono:

Data	Miejscowość	Parafie	Spowiedzi	Kto był na ekskursyi	Uwagi
Rok 1913					
10—12/V	Batheas	Sao Bento	115	ks. Stawianowski	
12—17/X	Sao Bento	Sao Bento	200	ks. Góral	jedno dziecko do I. Komunii św.
21—23/X	Hanza	Jaragua	35	ks Góral	4 dzieci do I. Komunii św.
23—25/X	Ribeirao Cavallo	Jaragua	100	ks. Góral	7 dzieci do I. Komunii św.
28—30/X	Batheas	Sao Bento	120	ks. Góral	dałem ślub 30-go października
4—6/XI	Jaragua	Jaragua	40	ks. Góral	5 dzieci do I. Komunii św.

Sposób odbywania tych ekskursyi misyjnych jest podobny do tych, jakie księża Konfratrzy urządzają dla robotników sezonowych w Niemczech i we Francyi.

Nie będę ich opisywał szczegółowo, gdyż równocześnie jest o nich mowa na innem miejscu w niniejszych „Rocznikach“.

Krzyż misyjny.

Nadanie nowych odpustów.

Każda misya naszych Konfratrów kończy się rzewną ceremonią postawienia krzyża misyjnego, według zwyczaju naszych przodków, a za przywilejem Stolicy św. — Przywilej ten oraz odpusty, przywiązane do krzyża misyjnego, zamieszczono w *Collectio Privilegiorum Congr. Missionis,* pod nr. 303.

Obecnie Ojciec św. Pius X. zniósł dawne odpusty, które różne Zgromadzenia uzyskały od Stolicy św. pod tym względem, a na ich miejsce ustanowił nowe, jednakowe dla wszystkich. Ponieważ sprawa ta bardzo ważną jest dla Konfratrów, pracujących na misyach, podajemy tu odnośny dekret Kongregacyi św. Officium z dnia 13 sierpnia 1913 r.

SUPREMA S. CONGREGATIO S. OFFICII
(SECTIO INDULGENTIARUM).

Decretum, quo uniformes decernuntur Indulgentiae Crucibus, quae »a missionibus« nuncupantur.

(*Acta Ap. Sedis,* Vol. V, pag. 429).

Ut piarum missionum, quas ad populum verbi Dei praecones habuerint, memoria perseveret ac fructus, passim usu receptum est, ut Crux aliqua, sive in templis, sive apud illa, sive etiam penitus in aprico, rite benedicta erigatur. Vivificum Redemptionis signum aptum est nimirum ad Religionis reclamanda praecepta, ad poenitentiae insinuanda proposita, ad spem futurorum erigendam. Ordinaria Episcoporum auctoritas et Apostolicae Sedis liberalitas censuerunt iampridem, munere Indulgentiarum esse ditandos, qui pie se ad haec Signa converterint. Placuit porro Ss.mo D. N. D. Pio Pp. X, de E.morum Patrum Cardinalium Inquisitorum generalium

consulto, variam in re tollere mensuram, et conformes ubique concedere Indulgentias. In audientia igitur R. P. D. Adsessori S. Officii, feria IV, loco V, die 13 augusti 1913, impertita, apostolica Sua utens auctoritate, abrogavit beatissimus Pater omnes hucusque etiam a Se Suisve praedecessoribus Crucibus missionum adnexas Indulgentias, quacumque id factum fuerit vel solemniori forma, quolibet etiam peculiari et specifica mentione digno Personarum vel Religiosorum Institutorum privilegio, et sequentes novas, sub enunciandis conditionibus, tribuere dignatur:

I. Plenariam, defunctis quoque adplicabilem:

1) die erectionis seu benedictionis ipsius Crucis memorialis;
2) die anniversario eiusdem erectionis seu benedictionis;
3) die festo Inventionis S. Crucis (3 maii);
4) die festo Exaltationis S. Crucis (14 septembris), vel uno ex septem respective sequentibus diebus.

Ad has Indulgentias assequendas oportet, ut fideles Ss.mam Eucharistiam, rite expiati, suscipiant, Crucem praedictam et aliquam ecclesiam vel publicum oratorium visitent, atque ad mentem Summi Pontificis preces fundant.

II. Partialem, quinque annorum todidemque quadragenarum, similiter adplicabilem, semel in die ab iis fidelibus lucrandam, qui corde saltem contrito supradictam Crucem aliquo devotionis signo exteriori salutaverint, ac *Pater*, *Ave* et *Gloria* in memoriam Dominicae Passionis recitaverint.

Esto autem Crux erigenda ex solida decoraque materia confecta; determinato loco adhaereat, vel basi firmiter sustentetur, benedicatur per sacerdotem, qui in S. Missione conciones habuerit; accedat insuper, pro his peragendis, consensus Ordinarii loci.

Praesenti in perpetuum valituro absque ulla brevis expeditione. Contrariis non obstantibus quibuscumque.

M. Card. Rampolla.

L. † S. † D. Archiep. Seleucien, *Ads. S. O.*

†

Ś. p. Siostra Felicya Karpowicz.

Dnia 8 września 1912 r. zmarła Przełożona Schroniska imienia Bilińskich, we Lwowie, S. Felicya Karpowicz, przeżywszy 77 lat wieku, powołania 43.

Ś. p. Siostra Karpowicz pochodziła z zamożnej, ale przedewszystkiem prawdziwie chrześcijańskiej rodziny. Przyszła na świat we Wilnie, dnia 22 lipca 1835 r. Staranne wychowanie i wyższe wykształcenie, rozwijając wrodzone jej przymioty, uspòsobiło ją do oddania następnie licznych usług Zgromadzeniu.

Miłość dla ubogich była jednem z najpierwszych uczuć, jakie się obudziły w jej sercu. Młodziutką będąc, otrzymała raz od ojca pełną sakiewkę drobnej monety. Uradowana niezmiernie pobiegła do swej babki, a pokazując swój skarb wołała: „Chodźmy, babuniu, szukać ubogich!“ Sędziwa matrona, której przykłady nie mało się przyczyniły do rozwinięcia we wnuczętach politowania dla ubogich, jakie jej własną duszę przepełniało, chętnie przychyliła się do życzenia Feluni. Razem odwiedziły ciemną jakąś i wilgotną izbę, gdzie wspomogły ciężko chorą osobę; stąd poszły do innych jeszcze ubogich. Felicya, wzruszona i uszczęśliwiona widokiem radości, jaką sprawiła biednym, i okryta ich błogosławieństwem, wróciwszy do domu rzuciła się w objęcia ojca i pokazała mu próżną sakiewkę, nie mogąc wymówić ani słowa. Zacny ojciec przycisnął córkę do serca, pochwalił ją i powiedział: „Czyń tak zawsze, moje dziecię, a Bóg ci będzie błogosławił“.

Takie początki piękne rokowały nadzieje na przyszłość, a lata ich nie zawiodły. Młodą będąc panienką, Felicya tak błogi i silny wpływ wywierała na swe otoczenie, że nauczycielka jej przeszła z luteranizmu na katolicyzm, a także kilka osób mojżeszowego wyznania, pociągniętych słodyczą panny Felicyi, przyjęło chrzest święty. Zawsze była pełna poświęcenia. Nie wahała się nieść ulgę materyalną i moralną tam nawet, gdzie groziło niebezpieczeństwo. W czasie powstania 1863 roku, przebrana za wiejską dziewczynę, odwiedzała nieszczęśliwych rodaków, trzymanych w ciemnych norach wilgotnego więzienia, pozostawiając zawsze za sobą promień nadziei lepszej doli i wzbudzając w niejednem słabnącem sercu siłę do cierpliwego znoszenia srogich prześladowań i katuszy.

Rodzina, ceniąc wielce niezwykłe przymioty Felicyi, pragnęła zatrzymać ją, jeżeli już nie przy domowem ognisku, to przynajmniej gdzieś niedaleko. Bóg jednakże inaczej rozrządził, obierając sobie tę duszę uprzywilejowaną za oblubienicę. Pierwsza myśl poświęcenia się wyłącznie na Jego służbę przyszła jej w czasie ciężkiej choroby, a myśl ta raz powzięta, stała się wkrótce postanowieniem nieodwołalnem. Było to w r. 1869. Przewidując trudności, jakie napotka, przedstawiła Felicya nieśmiało zamiar swój rodzicom, którzy istotnie z całą stanowczością odmówili swego zezwolenia. Nie zniechęciło jej to jednak wcale. Zdała się na wolę Bożą, czekając z ufnością stosownej okazyi, aby swe zamiary doprowadzić do skutku.

Ciężka choroba, jaką dopiero co przebyła, nie przeminęła bez śladu, pozostało jej bowiem pewne osłabnienie, a doktorzy uznali za stosowne wysłać pacyentkę do Karlsbadu. Felicya z radością przyjęła tę poradę lekarską, widząc w niej chwilę odpowiednią do spełnienia swych marzeń. Zajęto się natychmiast przygotowaniami do podróży, rekonwalescentka dużo czasu poświęciła na sposobienie ubrania, wreszcie zaopatrzona w strój elegancki i wszelkie potrzeby niezbędne dla osoby udającej się do wód, niczem nie zdra-

dząjąc swych planów, pożegnała rodzinę czule, lecz ze spokojem osoby mającej powrócić za kilka tygodni do domu.

Przestąpiwszy próg rodzinny, Felicya skorzystała natychmiast ze swej wolności i zamiast do Karlsbadu, obrała drogę prowadzącą do Chełmna. Tam przedstawiła się Siostrze Wizytatorce Hanke, a powiedziawszy o swoim postępku, dodała z pewną energią: „Jeżeli Czcigodna Siostra Wizytatorka zechce mnie przyjąć, to pozostanę; a jak nie, to pójdę do Karmelu“. Nie przyzwyczajona do takiego tonu przy prośbach o przyjęcie do Zgromadzenia, Siostra Wizytatorka odrzekła: „A cóż to za panienka, która prosi i grozi zarazem!“ Po dłuższej rozmowie i zasięgnięciu potrzebnych informacyi, aspirantka została przyjęta i rozpoczęła zaraz postulat swój w Chełmnie.

Do Seminaryum wstąpiła 11 grudnia 1869 r. Jak najlepsze pozostawiła wspomnienie w Seminaryum, które ówczesna dyrektorka, zacna Siostra Beuge, streszcza w tych słowach: „Była to dusza gruntownie pobożna, wytrawna, rozumiejąca drogi Boże i szczerze dążąca do doskonałości właściwej św. powołaniu naszemu. Nagła zmiana życia wiele ją kosztowała; zdrowie jej bardzo delikatne dużo ucierpiało, zanim się przyzwyczaiła do regulaminu Zgromadzenia; szczególnie charakter jej nie bez walki nagiął się do tego nowego trybu życia. — Siostra Karpowicz przestąpiła już była ten wiek, w którym dla nowych zwyczajów łatwo się pozbywamy dawniejszych, a nie bardzo jeszcze głęboko wkorzenionych nawyknień. Ona, osoba w świecie dojrzała, przyzwyczajona zawsze rozkazywać, trudności doznała nie mało, kiedy trzeba było praktykować posłuszeństwo, nigdy jednakże nie opuszczała okazyi do zaparcia się siebie. Przypominam ją sobie w Seminaryum, w fartuchu roboczym, z miotłą, albo ścierką w ręku, a przy tem z tak poważną miną, jak gdyby nie wiem jakie wytworne dzieło wykonać miała. Nie bardzo przyzwyczajona do tego rodzaju pracy, dość niezręcznie się z niej wywiązywała, co jej nie jedno spowodowało napomnienie; nie uniewinniała się jednak ani wymawiała od

żadnej roboty, zawsze do wszystkiego była gotowa. Poważny wyraz jej twarzy nie miał wszakże nic surowego i szorstkiego, lecz doskonale nadawał się do wielkiej łagodności i uprzejmości, któremi się zawsze ukochana Siostra Felicya odznaczała. Niezmiernie akuratna i obowiązkowa w Seminaryum, wierną pozostała tej cnocie przez całe swe życie, tak że później, kiedy miała sobie powierzone różne urzędy, widziano ją zawsze prawie z zegarkiem w ręku i żyjącym zegarem ją nazywano. Pełna ducha wiary, z wielką uległością słuchała dyrektorki, młodszej od siebie wiekiem, i zawsze była zbudowaniem i przykładem dla całego Seminaryum".

Wszyscy cenili jej cnoty i poważali ją, mimo to jednak nieraz ubawiono się szczerze jej oryginalnymi pomysłami i dziwną łatwowiernością. Łatwowierność ta, wypływająca z prawości, która złego nie przypuszcza i nie umie się mieć na baczności przed intencyami mniej doskonałemi, a nawet przed figlami dzieci — stała się szkopułem dla ukochanej naszej Siostry w pierwszym urzędzie, jaki jej powierzono. Mając sobie zleconą naukę w szkole elementarnej w Chełmnie, nie mogła w żaden sposób dać sobie rady z dziećmi. Bardzo ją martwiło, że dla braku powagi, nie mogła na nie wywierać takiego wpływu, jak to w gorliwości swej pragnęła, i gorzkie sobie z tego powodu robiła wyrzuty.

Natomiast jednak, kiedy dano jej zajęcie przy Seminaryum, a później mianowano Dyrektorką, zbawiennie bardzo wpływała na młode Siostry, które odrazu zrozumiały jej cnotę. Pozostała w Chełmnie aż do dnia, w którym jako ofiara nieszczęśliwego prześladowania religijnego, znanego pod nazwą „kulturkamfu", zmuszona była opuścić nie tylko swe stanowisko, ale i Ojczyznę.

Opatrzność wynagrodziła tę podwójną ofiarę, wzywając Siostrę Karpowicz w r. 1876 do Domu Macierzystego w Paryżu, gdzie była zajęta przy Seminaryum, wielce ceniona i szanowana przez całe swe otoczenie. Wkrótce jednak krzyż innego rodzaju dostał się jej z nieba, dla wypróbowania jej cierpliwości i wytrwałości. Okazała te cnoty,

znosząc z poddaniem straszne bóle spowodowane złamaniem nogi, a co trudniejsze jeszcze może było dla tak czynnej natury, to dłuższa bezczynność, jakiej wymagała kuracya.

Przeniesiona 1877. roku do szpitala wojskowego w Vincennes, Siostra Karpowicz ciężką tam znowu przebyła chorobę. Sądząc, że zbliża się dla niej ostatnia godzina, wysłała czuły list do swej rodziny z pożegnaniem i błagając, by wszyscy jej drodzy pozostali wiernymi zasadom praojców, wyrażając oraz swoje szczęście i zadowolenie, że umiera w Zgromadzeniu, w którem doznała tyle łask Bożych i gdzie zakosztowała prawdziwego spokoju serca i duszy.

Bóg jednak dał jej zdrowie i przywrócił siły, pozwalając jej przez długie jeszcze lata korzystać z łaski powołania, które tak bardzo kochała, a tem samem dostarczając okazyi do pomnożenia zasług i zwiększenia nagrody.

Ciężkie choroby i delikatne zawsze zdrowie, nie potrafiły osłabić jej gorliwości. Przejęta na wskróś duchem świętego Wincentego, Siostra Felicya umiała zjednywać sobie serca swoich chorych, którzy oprzeć jej się nie mogli i ci „dla których nadeszła godzina śmierci, opuszczali świat w dobrym stanie, ci zaś, którzy wyzdrowieli, wychodzili ze szpitala z postanowieniem prowadzenia uczciwego życia“. Po dwudziestu latach spędzonych w urzędzie, na który ściągała szczególne błogosławieństwo Boże, Siostra Karpowicz powróciła w r. 1896 do Polski, go prowincyi galicyjskiej, gdzie dnia 26 listopada tegoż roku powierzonem jej zostało kierownictwo nowo powstałego Schroniska dla Nieuleczalnych imienia Bilińskich, we Lwowie.

Cnoty, których liczne dowody dała jako towarzyszka, więcej jeszcze uwydatniły się na stanowisku przełożonej, o czem najlepiej świadczą jednomyślnie zdania tych, które miały szczęście długie przeżyć lata z drogą Nieboszczką.

Miłosierdzie jednak było zawsze głównym rysem jej charakteru; nigdy nie udawano się na próżno do jej litościwego serca lub sakiewki, bo jeżeli pierwsze tkliwem wzruszało się politowaniem, to i druga hojną niosła pomoc, lecz

serce kierowało ręką w rozdzielaniu jałmużn, które dawała zawsze z taką dyskrecyą, jaką Ewangelia zaleca.

Towarzyszki Siostry Karpowicz znajdowały w niej samą tylko dobroć i wyrozumiałość, nic więc dziwnego, że uciekały się do niej zawsze z całą prostotą i zaufaniem, toteż stosunki wzajemne małej tej rodziny były wymianą macierzyńskiej tkliwości i dziecięcego przywiązania. Rozumiejąc doskonale wielkość i odpowiedzialność swego stanowiska, droga nasza Siostra czuła, że najpierwszym jej obowiązkiem jest starać się, aby wszystkie jej powierzone dusze czuły się szczęśliwemi. Szczególniejszą miłością i dobrocią otaczała najmłodsze swe towarzyszki, ażeby im osłodzić ofiarę, jakiej w powołaniu naszem wymaga oderwanie się od wszystkiego, co się pozostawiło na świecie. Jeżeli zauważyła niekiedy smutniejszy wyraz twarzy u której z Siństr, zaraz w jak najdelikatniejszy sposób starała się dojść przyczyny tego smutku, ażeby temu zaradzić, a często robiła sobie wyrzuty, że to ona sama przykrość innym sprawia. „Gdybym mogła, mawiała nieraz, radabym nieba wam przychylić, moje drogie Siostry, byle was tylko widzieć szczęśliwemi!“ — Bardzo się cieszyła, kiedy Siostry były wesołe i swobodne podczas rekreacyi, podniecając nieraz sama ogólne ożywienie dowcipnemi uwagami. Twierdziła, i to bardzo słusznie, że wesołość świadczy o spokoju i gorliwości ducha i że „kto dobrze odprawia medytacyę, to i dobrze odbywa rekreacyę“. Pragnieniem gorącem Siostry Karpowicz było, aby zgoda i miłość siostrzeńska panowała wśród jej towarzyszek, czuwała przeto nad sobą, ażeby postępowanie jej mogło im za wzór służyć, nie pozwalając sobie nigdy na żadne wyróżnienie lub odszczególnienie, żeby nie obudzić niezadowolenia lub zazdrości.

Nieuleczalnie chorzy w Schronisku Bilińskich niemniej od Sióstr cenili dobroć czcigodnej Przełożonej. Uszanowanie, z jakiem zbliżała się do nich, pierwsza ich pozdrawiając, uprzejmość, z jaką obchodziła wszystkich, rozdając medaliki, obrazki lub słodycze, a przytem nie szczędząc słów otuchy i pociechy, gotowość do oddania im najniższych nawet po-

sług, słowem, nic nie uszło uwagi biednych kalek, którzy z rozczuleniem i wdzięcznością lubią sobie przypominać dowody życzliwości, jakiemi ich darzyła. A jeżeli się zdarzyło, że niektórzy istotnie zasłużyli na upomnienie, to Siostra Karpowicz przemawiała do nich z taką wyrozumiałością i słodyczą, że nie rozdrażniając nikogo, zawsze nakłoniła winnych do poprawy. Wymagała również od swych towarzyszek, aby zawsze z wielką łagodnością i dobrocią przemawiały do tych biedaków. „Dajcie im, ile możności, wszystko, czego żądają, mawiała, chociażby wam to wydawało się niepotrzebne; ale przedewszystkiem, zawsze przemawiajcie do nich łagodnie i serdecznie, bo dobre słowo więcej pomoże aniżeli lekarstwo, podane szorstko; hardo i ozięble oddana im usługa rozgoryczy ich tylko i pobudzi do zuchwałości“.

Wśród tej wielkiej rodziny upośledzonych i nieszczęśliwych, nad którą czuwało miłosierne serce Siostry Służebnej, znajdowała się gromadka uprzywilejowana, były to dzieci. Poznały się one tak dobrze na tej tkliwości i współczuciu, jakie w niej wzbudzały, że cieszyły się, kiedy chociaż z daleka widzieć ją mogły i nazywały ją „mateczką“. Istotnie, trudno byłoby lepiej wyrazić to, czem Siostra Karpowicz była dla tych dzieci. Jak troskliwie czuwała, by im nie zbywało na niczem, jak usilnie zalecała służbie, którą Siostry mają do pomocy, aby nikt dzieciom krzywdy nie robił. Im więcej biednych tych kalek jej przynoszono, tem więcej się cieszyła. Szczęśliwą się czuła, kiedy wśród mnogich swych zajęć mogła znaleźć chwilkę wolną, aby wejść na oddział dzieci, pobawić się z niemi, przesłuchać pacierza i katechizmu, zapalić w tych sercach niewinnych płomień gorącej miłości ku Bogu. Troskliwa o ich dobrobyt, od dawna przemyśliwała nad ulepszeniem materyalnych warunków ich pomieszczenia, ale planów swoich uskutecznić już nie zdołała.

Całkiem oddana bliźnim, poświęcając się dla nich bezustannie, ukochana Siostra nasza nigdy nie zajmowała się sobą, chyba wtedy, kiedy chodziło o to, aby się w czem umartwić. Nigdy nie pozwoliła sobie korzystać z jakichkol-

wiek wyjątków, czynionych czasem w dobrej intencyi przez którą z towarzyszek. I tak naprzykład, kiedy w refektarzu znalazła czasem na swojem miejscu jakiś dodatek, znalazł on się z pewnością na stoliku którego z chorych.

Doskonałą będąc pocieszycielką strapionych i nieszczęśliwych, których dziwnie umiała podnosić na duchu, Siostra Karpowicz nigdy się nie użalała w troskach i cierpieniach osobistych, szukając dla siebie samej pociechy jedynie w Bogu. Jeżeli się zdarzyło, że postępowanie której z Sióstr sprawiło jej przykrość, wtedy modliła się za nią więcej, cicho u stóp Tabernakulum płakała, błagając o światło i radę, w jaki sposób upomnieć winną. W ostateczności tylko, kiedy dla dobra dusz trzeba było uskutecznić zmianę której Siostry, udawała się do Przełożonych, ale poprzednio użyła wszystkich środków, jakie dyktuje miłość i roztropność. Każda taka zmiana odbywała się kosztem jej zdrowia; to też dwa takie wypadki, które nastąpiły krótko po sobie, niezawodnie przyczyniły się do skrócenia jej życia.

Akuratność, którą się już w Seminaryum odznaczała, wierną jej towarzyszką pozostała aż do ostatniej chwili życia. Pierwsza na wszystkich ćwiczeniach duchownych, punktualnie wierna Regule świętej, nie chciała nigdy przyjąć dyspens, które usprawiedliwiał jej stan zdrowia i wielkie zmęczenie, mianowicie kiedy chodziło o wstawanie o godzinie 4-tej, któremu wierna była aż do końca. Ukochana Siostra nasza nic nie zalecała towarzyszkom, czegoby sama nie praktykowała; a jeżeli często je nagliła, by się starały pozbyć najuporczywszego nieprzyjaciela swego, nieszczęśliwego „ja“, z którym walczyć nam trzeba bezustannie, to i ona sama usiłowała przejść niepostrzeżenie i nie obawiała się, że godność jej na tem ucierpi, jeżeli na kolanach przeprosi towarzyszkę, skoro sądziła, że ją czem zmartwiła.

Jako przykład wierności zobowiązaniom, które na siebie bierzemy przez złożenie ślubów świętych, możnaby liczne przytoczyć dowody; wspomnimy tu tylko o jej ubóstwie. Siostra Karpowicz obierała dla siebie zawsze rzeczy najbar-

dziej zniszczone, takie, którychby żadna inna użyć już nie mogła; nigdy nadto nie chciała mieć żadnych zapasów w swej szafce. To, co najniezbędniejsze, tylko, i na tem koniec.

Uszanowanie i cześć, z ducha wiary płynącą, miała dla Przełożonych i dla wszystkiego, co od nich pochodziło; widziała w nich Boga samego, a wola ich była dla niej świętą. Broń Boże, żeby kto, choćby jednem słowem, pożalił się kiedy na Przełożonych, nawet żartem. Wyraziła się razu pewnego, że kiedy słyszy słowa skierowane przeciw tym, którzy nam Boga zastępują na ziemi, to jej się zdaje, że nóż jej wbijają w serce; taką wtedy boleść czuła.

Powodując się zawsze pobudkami nadprzyrodzonemi, w każdym kapłanie widziała zastępcę Chrystusowego, a zważając tylko na święty ich charakter, nie przypuszczała nigdy, żeby młody ich wiek w czemkolwiekbądź mógł zmniejszyć uszanowanie, jakie im jest winna.

„Głęboka pobożność drogiej naszej Zmarłej opierająca się na pokorze i ufności, piszą jej towarzyszki, budowała nas zwłaszcza w kaplicy całem swem ułożeniem zewnętrznem, skupieniem ducha, wzrokiem zwróconym zawsze na ołtarz z tak żywą wiarą, że zdawało się, iż przenika zasłonę eucharystyczną". Z dziecięcem wylaniem i niezachwianą pewnością, że modlitwy jej wysłuchane zostaną, udawała się do Najlepszej, Niepokalanej swej Matki. Toteż nieraz wypraszała nadzwyczajne nawrócenia.

Ustawiczne, głębokie zjednoczenie się z Bogiem uwieńczyć miała śmierć szczęśliwa, po szesnastu niemal latach zbożnej pracy we Lwowie, w r. 1912. W ostatniej chorobie Opatrzność nader miłą sprawiła jej pociechę: otrzymała błogosławieństwo Następcy świętego Wincentego, którego tak wierną była córką przez całe życie. Telegram z błogosławieństwem nadszedł krótko przed śmiercią. Trudno opisać radość, z jaką słuchała jego treści; wzruszona taką niespodzianką, nie wiedziała, czy się cieszyć czy upokarzać; wreszcie radość przemogła i tak na organizm podziałała, że otoczenie całe łudzić się poczęło tem nagłem ożywieniem. — Jednakże dnia

7-go września wieczorem, stan chorej znacznie się pogorszył; zawezwany ksiądz Kapelan udzielił jej ostatniej absolucyi i prosił, by pobłogosławiła swe towarzyszki. „Niech Was Bóg błogosławi, moje drogie Siostry", rzekła i dodała potem: „Trzeba wszystko wesoło przyjmować z ręki Boga".

Do ostatniej chwili myśląc tylko o drugich, poleciła Siostrom, aby się udały na spoczynek, zapewniając, że czuje się daleko lepiej. Z bólem serca spełniły ten ostatni jej rozkaz Noc była dość spokojna; o czwartej z rana, 8-go września, zawiadomione przez Siostrę czuwającą, że ostatnia chwila nadchodzi, otoczyły łoże czcigodnej swej Siostry Służebnej, której konanie było takie, jak całe jej życie: ciche i spokojne. Myśl jej zwrócona już tylko była ku niebu, a słowa, które w ciągu długiego swego życia nieraz powtarzała, i teraz jeszcze zsiniałemi wymówiła wargami: „O, jak piękne jest niebo i jak błogo umierać córką Miłosierdzia"!

Oznajmiając nam śmierć ś. p. Siostry Karpowicz, Czcig. Siostra Wizytatorka Zaleska tak się o niej wyraziła: „Tracimy doskonałą Siostrę Służebną, prawdziwą matkę ubogich i wzorową córkę świętego Wincentego. Umarła na posterunku, z bronią w ręku, do ostatniej chwili zajmując się gorliwie sprawami domu. Nic nie uszło jej uwagi, mimo dotkliwych cierpień fizycznych. Siostra Karpowicz była dla każdej z nas wzorem wierności w wypełnianiu naszych obowiązków: posłuszna jak seminarzystka, nawet w chorobie nie chciała, aby dla niej czyniono jakiekolwiek wyjątki, które się jej wydawały nie zupełnie odpowiednie do naszych zwyczajów".

„Administracya Schroniska imienia Bilińskich pokładała w Siostrze Karpowicz zaufanie bez granic. Księża Misyonarze wielce ją poważali, jeden z nich tak się nawet o zmarłej wyraził: „Nie dziwiłbym się wcale, gdyby otrzymano łaski, za przyczyną Siostry Felicyi, gdyż była to dusza całkiem Bogu oddana i ściśle z Nim zjednoczona!"

R. i. p.

Zmarli Misyonarze:

Ks. Joachim Pato-Rodriguez, 13 grudnia 1913 w Guantanamo (Kuba), żył lat 57, w Zgromadzeniu 40.

Ks. Ludwik Delarbre, 30 grudnia w Paryżu, żył lat 79, w Zgromadzeniu 56.

Ks. Malachiasz O'Callaghan, 30 grudnia w Cork (Irlandya), żył lat 88, w Zgromadzeniu 67.

Kler. Emanuel Lourenço, 5 stycznia 1914 w Dax, żył lat 24, w Zgromadzeniu 6.

Ks. Karol Schmiedel, 9 stycznia w Schwarzach, żył lat 26, w Zgromadzeniu 7.

Ks. Franciszek Richon, 13 stycznia w Paryżu, żył lat 78, w Zgromadzeniu 58.

Br. Jan Borsotto, 15 stycznia w Turynie, żył lat 39, w Zgromadzeniu 8.

Br. Jędrzej Izzo, 21 stycznia w Neapolu, żył lat 48, w Zgromadzeniu 18.

Ks. Cezary Rinaldi, 24 stycznia w Turynie, żył lat 80, w Zgromadzeniu 59.

Br. Gerard Steinbach, 26 stycznia w Theux, żył lat 76, w Zgromadzeniu 50

Br. Dominik Serra, 13 stycznia w Chieri, żył lat 51, w Zgromadzeniu 15.

Kler. Antoni Tulia, w Palma (prow. barcelońska), żył lat 17, w Zgromadzeniu 3 miesiące.

Br. Eugeniusz Boulnoy, 20 stycznia w Anturze (Syrya), żył lał 79, w Zgromadzeniu 45.

Ks. Izydor Ciattini, 3 lutego w Turynie, żył lat 71, w Zgromadzeniu 45.

Ks. Michał Perez, 2 lutego w Paredes de Nava (prow. madrycka), żył lat 67, w Zgromadzeniu 49.

Ks. Adolf Negro, 9 lutego w Macerata (prow. rzymska), żył lat 71, w Zgromadzeniu 31.

Ks. Paweł Czang, 10 lutego w Czengtingfu (prow. chińska północna), żył lat 71, w Zgromadzeniu 47.

Ks. Franciszek Gandolfi, 2 marca w Scarnafigi (prow. turyńska), żył lat 85, w Zgromadzeniu 68

Ks. Emil Roussez, w marcu w Czaoczeu (prow. półn. chińska), żył lat 31, w Zgromadzeniu 11.

Ks. Piotr Vercruyce, 9 marca w Paryżu, żył lat 89, w Zgromadzeniu 65

R. I P